

Drogi Czytelniku

Wśród licznych związków międzyludzkich ważne miejsce zajmuje przyjaźń. Próba zdefiniowania tego pojęcia nastrocza nie małe trudności, a to dlatego, że przyjaźń jest interakcją całkowicie dobrowolną, spontaniczną, subiektywnie odczuwaną i przeżywaną, która nie może być poddawana żadnym definicjom normatywnym, ani też prawom logicznym. Każdy człowiek ma własną definicję przyjaźni, każdy inaczej ją pojmuje. Słownikowa definicja mówi, że to „bliskie, serdeczne stosunki z kimś oparte na wzajemnej życzliwości, szczerości, zaufaniu, możliwości liczenia na kogoś w każdej sytuacji.”

Tak bardzo trzeba tworzyć te małe przestrzenie życzliwości i dobra, bo im ich więcej, tym łatwiej sobie poradzić z wielkimi przestrzeniami zła, znieczulicy, obojętności. - mówi o sile przyjaźni słynny benedyktyn z Tyńca ojciec Leon.

Za czym więc dziś tęsknię? Czasem za zapachem lat minionych, listem pisany odręcznie, za przyjacielem, który jest zbyt daleko... bo przecież tak bardzo potrzeba człowieka dla człowieka, potrzeba przyjaźni będącej nadzieją nadziei.

Bożena Bogdańska-Szadai



Kedves Olvasó!

Számos emberi kapcsolat között a barátság igen jelentős helyet foglal el. Fogalmának meghatározása nem kis gondot okoz, hiszen a barátság teljes mértékben önkéntes, spontán, szubjektíven érzékelt és megélt kölcsönös viszony, amelyet nem lehet semmiféle normatív meghatározások vagy logikai törvények kereteibe vonni. Minden embernek megvan a maga barátság-fogalma, és mindenki másképpen vélekedik róla. A szótári meghatározás szerint a barátság nem más, mint „közeli, szívélyes kapcsolat valakivel, amely kölcsönös megértésen, őszinteségen, bizalmon és feltétlen segítségnyújtáson alapszik”.

A megértés és jóság apró szigeteire oly' nagyon szükségünk van, mert minél többet teremtünk meg belőlük, annál könnyebb megbírkózni a rossz, a közömbösség és az érzéketlenség hatalmas tereivel. Így elmélkedik a barátság erejéről a híres bencés szerzetes, a tynieci Leon atya.

Mi után vágyakozom hát most? Néha az elmúlt évek illata után, egy kézzel írt levél, egy barát után, aki túl messze van..., mert hisz az ember emberre vágyik, barátságra, amely végül is a remény reménysége.

Bożena Bogdańska-Szadai

O czym (nie) powinien wiedzieć Pan Prezydent.....	4
<i>(Bożena Bogdańska-Szadai)</i>	
Dzień Polsko-Węgierskiej Przyjaźni (program).....	4-5
100. numer GP <i>(Jerzy Kochanowski)</i>	5-6
Od kartek do kart <i>(Tatiana Szypulska)</i>	7
Konkurs „Wspomnienie Solidarności w moje rodzinie”.....	8
A Magyar Kapcsolat – Węgierski łącznik.....	8
Wiosna przed Sierpniem <i>(Attila Szalai)</i>	9-11
Furaż Pegaza <i>(ABRA)</i>	12-13
Niezwykłe wspomnienie o Chopinie <i>(ks. Leszek Kryza)</i>	14
Tęsknoty, listy i wspomnienia <i>(Maria Ágoston)</i>	15
Határtalanul <i>(Tünde Trojan)</i>	16
Pamięć. Polscy uchodźcy na Węgrzech 1939-1946.....	17
Tam gdzie spoczywa major Nyáry.....	17
Ostatni zryw kuruców <i>(Jerzy Kochanowski)</i>	18
Edmund i Zygmunt: Bracia Matejkowie za wolność naszą i waszą <i>(István Kovács)</i>	19
Śladami Rodaków.....	20
1939. Ostatni rok pokoju, pierwszy rok wojny.....	20
Z życia stowarzyszenia.....	21
Kontakty.....	22
Wiadomości konsularne.....	22
Rocznice.....	22





O czym (nie) powinien wiedzieć Pan Prezydent – rozmyślenia przed Dniem Polsko-Węgierskiej Przyjaźni

Z całą pewnością Polsce ze wszech miar jest potrzebne, aby mieć poczucie, że potencjał narodu Polaków, który jest rozproszony po świecie, współdziałał również z aktywnością w kraju, że to wzmacnia pozycję Polski. Polonia – uważam – i to nie tylko na Węgrzech musi zrezygnować, czy przewartościować w sobie rolę bycia „na własny użytek”, a podjąć misję zmierzającą do uaktywnienia się w kierunku budowania wizerunku Polaka służącego krajowi osiedlenia, a poprzez to również Polsce i sądzę, że bezspornie jest to obecnie najważniejsze. Znajdujemy tego udane próby również tu, nad Ciszą i Dunajem. Nie bójmy się tego stwierdzenia – to nasze „małe ambasadorowanie” jest potrzebne nie tylko nam, Polonii.

Powiecie państwo, że snuję sobie utopijne rozważania, a mój „model” działań bardzo daleko pozostaje od chociażby doświadczanych, naszych węgierskich realiów. Bo z jednej strony najstarsza generacja Polonii, ta, której przodkowie przybyli tu w XVIII wieku uważana przez dużą część „reszty świata” za trochę dziwaczny bagaż historyczny. A owa „reszta świata” przez nich postrzegana jest jako osoby uzurpujące sobie prawo do „polskości na wyłączność”. No nie wiem...

Ponad 1/3 żyjących na Węgrzech Polaków – tak przynajmniej stanowią dane ostatniego spisu powszechnego – mieszka w Budapeszcie. Tu działają najstarsze i największe organizacje polonijne:

sędziwy „Bem”, św. Wojciech – organizacja katolicka wieku dojrzałego, poszukująca wzorców intelektualnych „Polonia Nova”, zawiadający i zawsze gotowi do służby „Legioniści”, podrasowująca swoją rzekomą polskość organizacja mająca za patrona księcia Siedmiogrodzkiego, czy trochę pozostawieni na uboczu ale pod wspólnym szyldem „Twórcy polonijni”. Są tu instytucje polonijne, które jak mogą starają się robić wszystko, aby służyć wspólnej sprawie, samorządy mniejszościowe, no i są najzwyczajni odbiorcy owych dóbr, czyli Polonusi, ale ci też podzieleni na dwa światy: tych, którzy mają bierno i czynne prawo wyborcze chociażby do samorządów mniejszościowych, bo są (również) obywatelami węgierskimi, no i te osoby, które obywatelstwa tego nie posiadają z bardzo różnych względów. Ci ostatni zazwyczaj miewają bardziej lub mniej głośne pretensje do swoich rodaków, którzy z różnych względów są obywatelami obu naszych krajów. Sama wielokrotnie słyszałam o zaciętych dysputach, kto jest lepszy i po co, i na co komuś potrzebne jest to drugie obywatelstwo. No nie wiem...

Nie jest tajemnicą, że Polonia i to nie tylko na Węgrzech, ale również na całym świecie starzeje się, a młodzieży zainteresowanej życiem w „zorganizowanym stadle” jest coraz mniej, a za chwilę być może nie będzie wcale. Powodów tego stanu rzeczy można wymienić bardzo wiele, ale jedno jest zupełnie pewne – młodzież nie ma czasu i ochoty na nic im nie wnoszące puste rozmowy, nie jest zainteresowana przepychankami wyborczymi, bo widzi więcej niż mogłoby się nawet wydawać ich głównym bohaterem

– z grzeczności raczej schodzi z drogi tzw. prawdziwym i bardzo wieloletnim Polonusom, a oni zresztą tak naprawdę nie są chętni do „wpuszczania” nowego na swoje podwórko. Niedawno na spotkaniu w „Bemie” określono to „drogą prowadzącą na cmentarz”. I nie przeczę, autor tego stwierdzenia miał rację.

Powiecie państwo, że przesadzam – przecież są przedszkola, szkoły, ba, nawet teatr polonijny, to wszystko nasi następcy. Oj nie wiem... Bo cóż im się może podobać w wiecznych podgryzaniach, zadziwaniu coraz to bardziej starzejących się nosów, czy rozdawaniu kiełbasy o wyborczym zasięgu, a może od lat nierozwiązane afery sądowe związane z nieporozumieniami w kręgach stołecznych, o których tak naprawdę nikt nie odważy się zbyt głośno mówić. Czy wreszcie dość powszechnie panująca dulszczyzna i jakby celowe nie zauważanie tego wszystkiego, co kryje się za pozornie „szlachetnym” działaniem pseudo stowarzyszeń czy bardzo nośnych haseł fundacji wymyślonych nie koniecznie przez polskich, ale za to „bardzo liderów na bardzo własny użytek”.

Powiecie państwo, że to nic innego, jak tylko i wyłącznie potwierdzenie naszego genetycznego pochodzenia. No cóż, smutne to, ale niestety prawdziwe... Tylko nie bardzo wiem, jak to wszystko powiedzieć naszym Przyjaciołom Węgrom, no i Panu Prezydentowi, i to nie tylko przed Dniem Polsko-Węgierskiej Przyjaźni.

Bożena Bogdańska-Szadai

DZIEŃ POLSKO-WĘGIERSKIEJ PRZYJAŹNI Óbuda-Békásmegyer 2010 r.

PROGRAM 23 marca 2010 - wtorek

Oficjalny program przedpołudniowy

- 9.00-10.00** Uroczysta polsko-węgierska msza św.
Miejsce: Zakon Salezjanów w Óbudzie – Kościół Matki Bożej Nieustającej Pomocy (1032 Budapeszt, ul. Bécsi 175)
- 11.00-12.00** Otwarcie, posiedzenie plenarne
Miejsce: Uniwersytet w Óbudzie (1034 Budapeszt, ul. Bécsi 96/b)
- 12.00-12.30** Złożenie wieńców przed tablicą pamiątkową
Miejsce: Park Męczenników Katyńskich (1034 Budapeszt, ul. Nagyszombat 19)
- 12.30-13.00** Pokaz Legionu Wysockiego
Miejsce: Amfiteatr Wojskowy (1034 Budapeszt, ul. Nagyszombat 5)

Fakultatywny zestaw programów popołudniowych - według miejsc imprez

Miejsce: Plac Główny (Óbuda-Békásmegyer)

- 13.00-19.00** „Plac Przyjaźni” – zabawa taneczna, degustacja polsko-węgierskich wyrobów kulinarnych (szczegółowy program według informatora otrzymanego przy rejestracji).

Miejsce: Békásmegyeri Klub
(1038 Budapeszt, plac Csobánka 5)

- 14.00-20.00** Otwarcie wystawy pt. „POLAK-WĘGIER DWA BRATANKI”
Ogłoszenie wyników konkursu prac rysunkowych Pokaz polskich dziecięcych filmów rysunkowych Projekcja filmu pod tytułem „Mały Jeździe Popołudniowe spotkanie literackie przy herbacie

Óbuda III. kerület Katinyi mártirok parkja

Miejsce: Csillaghegyi Klub

(1039 Budapeszt, ul. Mátyás király 11-15)

17.00- Klub filmowy - projekcja 2 części filmu „Karol-Papież, który pozostał człowiekiem”. Po projekcji dyskusja.

Miejsce: Centrum Kultury w Óbudzie

(1032 Budapeszt, ul. San Marco 81)

15.00-19.00 Otwarcie wystawy fotograficznej: „Warszawa” Koncert: Kwartet smyczkowy Orkiestry Symfonicznej Duna Wykład na temat polsko-węgierskich stosunków połączony z projekcją

Miejsce: Towarzystwo Miłośników Óbudy

(1036 Budapeszt, ul. Kiskorona 7)

14.00-17.00 Konferencja historyczna „Elżbieta z dynastii Piastów i jej epoka”

Miejsce: Muzeum Tkanin Artystycznych

(1036 Budapeszt, ul. Lajos 138)

15.00- Otwarcie wystawy polskich artystów plastyków żyjących na Węgrzech

Miejsce: Muzeum w Óbudzie i Biblioteka Muzealna

(1033 Budapeszt, plac Fő 1)

18.00- Otwarcie wystawy „Elżbieta z dynastii Piastów i jej epoka”

Miejsce: Muzeum i Biblioteka Platan w Óbudzie

(1031 Budapeszt, plac Arató Emil 1, wejście od ulicy Kadosa)

17.00- Wystawa obwolut płyt muzycznych „Okres świetności polskiego jazzu od lat 60-tych do lat 80-tych”

19.00- Koncert Chopinowski i kolacja
Miejsce: Towarzystwo Miłośników Óbudy (1036 Budapeszt, ul. Kiskorona 7 - z zaproszeniami)

19.00- Kolacja i koncert zespołu Zakopower
Miejsce: statek A38 (1113 Budapeszt, przy moście Petőfięgo po stronie Budy; obowiązują zaproszenia)

100. numer GP

O narodzinach „Głosu” pisałem już wielokrotnie, jednak przy tak okrągłym jubileuszu muszę powtórzyć niektóre, opublikowane wcześniej fakty.

Obecny numer „Głosu Polonii” nosi numer 100. Nie oznacza to, że pismo zawsze nosiło taki tytuł. Jak wiadomo przez ponad 15 lat stowarzyszenie nasze okazjonalnie wydawało periodyk o nazwie „Biuletyn”. Za pierwszy jego numer zwykliśmy przyjmować sześciostroniowy zeszyt wykonany na powielaczu w nakładzie stu egzemplarzy, który ukazał się w maju 1970 roku. Decyzją zarządu od niego bierze początek numeracja wydawanych przez nas pism. „Głos Polonii” traktowa-

ny jest zatem jako kontynuator „Biuletynu”.

Sadzę, iż gwoli prawdy historycznej, warto odnotować fakt, że pierwsza próba pisemnej

informacji dla członków stowarzyszenia miała miejsce w lutym 1965 roku. Wówczas to, w imieniu zarządu, sekretarz Piotr Jabłoński oraz

wiceprezes Stanisław Orzelski zredagowali dwustronicową ulotkę, nadając jej tytuł „Biuletyn Informacyjny Zarządu Nr 1”. Możemy zatem powiedzieć, że „Głos”, który jest spadkobiercą edytorskiej tradycji Stowarzyszenia, obchodzi w tym roku 45 lat!

Pismo na przestrzeni lat przechodziło wielokrotne zmiany formy, objętości i redagowania. Do 12. numeru miał kształt zeszytu A4, później A5 i redagowany był kolegialnie pod kierownictwem aktualnych prezesów. (Mój początek polonijnego dziennikarstwa to materiały umieszczone w 7. numerze Biuletynu w 1976



roku). Numery od 13 do 25 miały kształt zeszytów A5 (osobno w języku polskim i węgierskim), ze sztywną okładką z wizerunkiem gen. Bema (rysunek wzorowany na szkicu Sándora Petőfięgo) i były redagowane pod kierownictwem Witolda Wieromieję. Numery 24 oraz 26 do 30 były redagowane przez niżej podpisanego z tym, że nr 24 był dwujęzyczny, jeszcze w kształcie zeszytu A5, natomiast ośmiostronicowe, okazjonalne (rocznica śmierci króla Stefana Batorego), ilustrowane numery 26 i 27 były wydane drukiem tylko w języku węgierskim i miały kształt A4. Od 28. numeru periodyk, najpierw o objętości 16, później 24 stron, nosi nazwę „Głosu Polonii” i ukazuje się w zależności od posiadanych zasobów finansowych stowarzyszenia. Numery 31-33 są redagowane ponownie przez W. Wieromieję, który próbuje w nr 32 i 33 zmodyfikować tytuł na „Kronika Bema”. Następny redaktor naczelny pisma (nr 34 do 39) Alicja Nagy powraca do pierwotnego tytułu. Ciekawą inicjatywę Alicji było wydanie specjalnego numeru (37) z okazji I Zjazdu Polaków na Węgrzech z kolorową okładką. Od nr 40 do 60 redaktorem naczelnym jest znowu niżej podpisany. Od 43. numeru



„Głos Polonii” staje się kwartalnikiem, zaś od 47 numeru okładka posiada trzy kolory (dominuje zieleń). Nr 61 i 62 redaguje kolegium, natomiast od nr 63 do 84 wiodącym redaktorem jest nieodżałowany nasz kolega Jurek Królikowski. Wniósł on do pisma wiele nowatorskich pomysłów, tak w formie, jak i treści. Zresztą on jako jedyny wśród nas, oprócz dobrej ręki dziennikarskiej, posiadał profesjonalną znajomość redagowania i „łamania” gazety. Od 78. numeru „Głos” posiada kolorową okładkę. Numery 85-88 ukazują się pod kierownictwem A. Nagy, po rezygnacji której, od nr 89 obowiązek naczelnego redaktora sprawuje z powodzeniem Bożena Bogdańska-Szadai. Tak oto wygląda krótka historia naszego pisma.

Jako inicjator i twórca „Głosu Polonii” pragnę wszystkim, którzy na przestrzeni lat dołożyli starań i wysiłku, aby „Głos” Polaków na Węgrzech coraz piękniej i zdrowo „brzmiał”, wyrazić słowa najwyższego uznania i podziękowania.

Jerzy Kochanowski

Autorzy i współtwórcy „Głosu Polonii” (Biuletyn – 1970 - 1987 - 2010)

Ábrán László
Abrusán Jadwiga
Ady Andre
Ágoston Maria
Antolik Árpád
Antoniewicz Zdzisław

Baczyński Krzysztof Kamil
Barcs János
Bereznay Forkasfalvine
Sarołta
Benedekfy Buróné Ágnes
Benza-Romanowski Asztalos
András
Bézi M. Izabela
Bielicki Stefan
Biró Mátyás
Błocki-Sowiński Wojciech
Bogdańska-Szadai Bożena
s. Boratyn Bernadetta
Budziński Franciszek
Broniewski Władysław
Broś Maria
Bzdela Teresa

Cieślak Jerzy
Csiszar József
Csorba Tibor i Helena
Cséby Géza
Csúcs Halina

Dabi Halina
Dębicki Edward
Dobos Halina
Dombi Beata

dr Dúrr Sándor
Ducki Krzysztof
Dukay Barna
Dysko Edward

Fedyszyn Jan
Felföldi B. Maria
Fijałkowski Wiesław
Frączek Stefania
Frąszczak Ryszard
dr Földesi Imre
Fuz Jonasz
Gątkiewicz Zbigniew
Gwidzalewicz Stanisław

Hajdu József
Hasznos Andrzej
Hasznos Hanna
Héjj Aldona
dr Heller György
Hodányi Zoltán
Hercegh Beata

lochom István
Illés Pál Attila
Hakowiczówna Kazimiera

Jakubiec Danuta
Jakubowska-Bobrowska Ewa
Jarecka Maria
Jakimowska Stanisława
Juhász János
Juricsky Sándor

dr Kaczmarek Urszula
Kalinowski Andrzej

dr Kamocki Janusz
dr Kapronczay Károly
Kárpáti Zofia
Kis Danuta
dr Kiss Gy. Csaba
Kiss Patrycja
Király István Zoltán
Kochanowski Jerzy
Kohanszky István
Kollár Urszula
Kondor Endre
Korek Eugeniusz
Kószeghy Janina
Kozinińska Alina
Kozma János
dr Kovács Endre
dr Kovács István
dr Kovássy Zoltán
Królikowski Jerzy
ks. Kryża Leszek
Kucharska Wiesława
Kupczak Roman
Kussinszky Wiesława

Láčzkó András
László Sándor
Látos Ildikó
Lázár Ewa
Łubczyk Grzegorz
Łopatkiewicz Piotr

Maciejewska-Pavković Joanna
Majcher-Węgrzynek Alicja
Medovarszky Bianka
Mészáros Krystian

Milczewska Urszula
Miłosz Czesław
dr Molnár István
Molnámé-Sagun Mónika
Nagy Agnieszka
Nagy Alicja
Nagy Bálint Halina
dr Nowak Jerzy Robert
Novotny Anna

Olszański Tadeusz
dr Oszes-Frei Janina
Ostafin Tomek
Ostoja-Mitkiewicz Mieczysław

Pabiniak Henryk
Pabiniak Irena
Petneki Áron
Petőfi Sándor
Pék József
Pilich Przemysław
Pietrzyk Małgorzata
dr Prohászka László
Przewoźnik Andrzej

Radwański Jacek
Rajtar-Szabó Magdalena
Rege Béla
Révész Helena
Rónay Ewa
Rózański Zbigniew
Runiewicz Jan Kazimierz
Rugowicz Klaudia

Sadowska Krystyna
dr Sallai János
Sárközi Edit
dr Sepioł J. Janusz
Sieradzan Jerzy
Ślodyczka Joanna
Snopek Jerzy

Sobotyński Małgorzata
Somorjai László
Stefaniaczyk Wiesław
Stolarski Jan
Sroka Zenon
Stopa Zygmunt
Straszewski Andrzej
Suszczyńska Małgorzata
dr Sutarski Konrad
dr Szabó Kálmán
Szabó Olivia
Szalai Attila
Szamoluski Andrzej
Szypulska Tatiana
Świąch Zbigniew

Takács Małgorzata
Toperczer Oszkár
Torma Martina
Trojan Tünde

Walker Ryszard
Wartecka Milena
Wątróbski Leszek
Wesołowski Andrzej
dr Wieliczko Mieczysław
Wieromiej Witold
Wiśniewski Władysław
Wojciszewska Małgorzata
Worowska Teresa
Wölfel Lajos

Varga Grażyna
Városi Jadwiga
Vékás Gábor
Vesztróczy Zsolt

Zych Anna
Żółkiewicz-Siakantaris Beata

„Obywatelki i obywatele Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej!

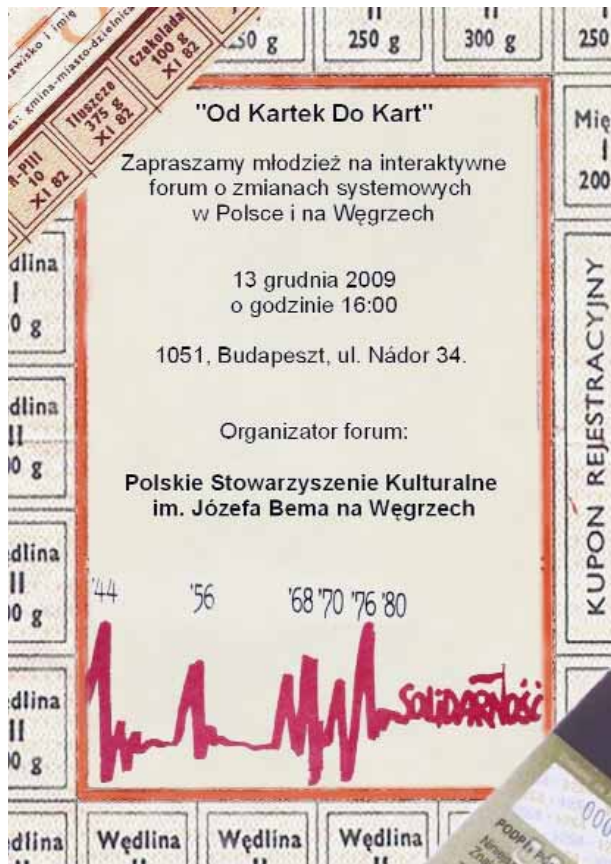
Zwracam się dziś do Was jako żołnierz i jako szef rządu polskiego. Zwracam się do Was w sprawach wagi najwyższej. Ojczyzna nasza znalazła się nad przepaścią. Dorobek wielu pokoleń, wzniesiony z popiołów polski dom ulega ruinie”.

Tymi słowami – 13 grudnia 28 lat temu – rozpoczął swoje orędzie do narodu gen. Wojciech Jaruzelski. Na terenie całej Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej został wprowadzony stan wojenny. Polacy usłyszeli, że ich „Ojczyzna znalazła się nad przepaścią”. Na ulicach pojawiły się czołgi i patrole, zamilkły telefony...

Rocznicę tego wydarzenia obchodzono w całej Polsce, organizowano spotkania, wykłady i odczyty, zarówno dla tych, którzy pamiętają te wydarzenia, jak i dla młodzieży, której treści te należy przekazać, a pamięć o nich pielęgnować. Również w Budapeszcie pamiętano o wydarzeniach z grudnia 1981 roku. Polskie Stowarzyszenie Kulturalne im. Józefa Bema zorganizowało interaktywne spotkanie dla młodzieży, pod hasłem: Od kartek do kart. Samo zatytułowanie miało już na celu zasugerowanie zmian gospodarczych, jakie nastąpiły od kartek na żywność, które kiedyś były codziennością, do kart bankomatowych, które niedługo istniały być może tylko w wyobraźni filmowców.

Na spotkanie przybyli goście specjalni, znawcy i badacze dziejów Solidarności.

OD KARTEK DO KART



Wykłady na temat historii obywateli państw oscylowały wokół tematów funkcjonowania państwa, co się dzieje wówczas, gdy zostają zachwiane jego podstawowe struktury działania, kiedy warunki życia zaczynają przytłaczać ludzi, zadawano pytania czy musiało do tego dojść i jakie można wyciągnąć wnioski na przyszłość. Z pewnością przejście od pustych sklepów i kartek do kolorowych, pełnych wystaw, a co za tym idzie kart bankomatowych i kredytowych nie obeszło się bez potknięć, ale ważne jest, aby wyciągnąć wnioski, żeby nie było tak, iż: Z historii narodów możemy się nauczyć, że narody niczego nie nauczyły się z historii¹.

Po wykładach był czas na aktywną dyskusję. Zgromadzona młodzież miała pytania do historyków więc spotkanie przerodziło się w międzynarodowy dialog.

W przygotowaniach forum wzięli udział budapeszteńscy polsko-węgierscy akademicy, a także pracująca młodzież. Całość poprowadziła Tatiana Szypulska w asyście Kitty Beker. Nad sprawami merytorycznymi czuwali młodzi historycy: Ákos Hangya i Bettina Merényi. Gościem specjalnym był Radca Marcin Sokołowski Konsul RP na Węgrzech.

Całości dopełniała skromna wystawa, po jednej stronie działacze komunistyczni, których portrety zdobiły kiedyś każdy urząd, gabinety, a nawet szkolne sale. Druga strona przedstawiała działaczy solidarnościowych i ważne wydarzenia związane z działalnością ruchu.

Na zakończenie wystąpił zespół „Przeznaczenie” z Piotrkowa Trybunalskiego, który wprowadził publiczność w nostalgiczny nastrój.

Po historycznych rozważaniach, wszyscy zostali zaproszeni do wypróbowania specjalów kuchni polskiej, które wydawane były na specjalnie na tę okazję przygotowane kartki. Większość zaproszonych już ich nie pamiętała, znają już tylko te bankomatowe i kredytowe, ale to właśnie dzięki wcześniejszym pokoleniom, aktywnym działaczom Solidarności żyją w czasach tych plastikowych kart...

Tekst: **Tatiana Szypulska**
Zdjęcia: **Grzegorz Knapik**



Specjalnym gościem z Polski był Andrzej Celiński – polski polityk, senator I i II kadencji, poseł na Sejm II, IV oraz VI kadencji, były minister kultury, działacz opozycji demokratycznej, były szef gabinetu Lecha Wałęsy. Wygłosił wykład o czasach zmian systemu w Polsce, o początkach Solidarności. Padły pytania co pozostało obecnie z dawnych idei solidarnościowych, jakie można wyciągnąć wnioski i przesłania na przyszłość oraz jak powinno wyglądać obecne społeczeństwo solidarne.

Następne wykłady wygłosili węgierscy goście, oddani przyjaciele Polaków: dr Tibor Szép - badacz dziejów polskiej Solidarności na

Węgrzech oraz wybitny polityk Miklós Csómos. Z perspektywy węgierskiej wspomniano fakt, iż rok 1989 był czasem, w którym konsekwencje zmian systemu mogły spowodować, iż brat wystąpi przeciwko bratu. Niewiele było wtedy takich, którzy potrafili dostrzec pozytyw tej sytuacji, a większość w ogóle nie widziała optymistycznej strony przyszłości. Był to czas, kiedy sytuację w Europie Środkowo-Wschodniej regulowały postanowienia jałtańskie z 1947 roku. Na ten sam przełom lat 1985-1991 przypada rozpad Związku Radzieckiego, tym samym wielu ludzi odzyskuje nadzieję na utraconą wolność.

¹ Georg Wilhelm Friedrich Hegel

KONKURS „WSPOMNIENIE SOLIDARNOŚCI W MOJEJ RODZINIE”

Rok 2010 jest rokiem, w którym wspominamy jedno z najważniejszych wydarzeń w dziejach najnowszej historii Polski – 30 rocznicę powstania Niezależnego Samorządnego Związku Zawodowego „Solidarność”. Wydarzenie to miało niewątpliwie ogromny wpływ na dalszą historię Polski, ale również całej Europy i świata. Zasadnym jest uznanie wyrażane dla Polaków, którzy w latach 1980-1989 w kraju w sposób bezkruwawy pokonali komunizm. Niedostatecznie jest jednak podkreślana rola Polonii w tym zakresie. Z myślą o wydobyciu nieznanych i zapomnianych faktów świadczących o działaniach diaspory polskiej na rzecz rodaków w Ojczyźnie, zostaje ogłoszony Konkurs, do udziału w którym zapraszamy dzieci i młodzież, uczniów szkół polskich za granicą.

Celem Konkursu jest:

- próba ocalenia od zapomnienia tych działań Polaków mieszkających za granicą, które przyczyniły się do odzyskania przez Polskę suwerenności w 1989 roku. Dotyczy to wsparcia politycznego, pomocy charytatywnej – zarówno rzeczowej jak i finansowej;



- chęć przybliżenia młodym Polakom mieszkającym poza granicami Polski nieznanych faktów z czasów Solidarności, z których mogą i powinni być dumni;
- poznanie i zrozumienie tamtego okresu, a tym samym wzmocnienie więzi z Polską.

Konkurs przeprowadzany jest w dwóch kategoriach wiekowych: 8-12 i 13-19 lat. Prace konkursowe dotyczą wydarzeń z lat 1980-1989 przekazanych

uczestnikom przez bliskich, przyjaciół, znajomych. Forma prac: opowiadania, reportaże, eseje, wiersze oraz formy multimedialne – krótki film, reportaż, wywiad, prezentacja, audycja. Nagrodą główną jest tygodniowy pobyt w Polsce i spotkania z rówieśnikami oraz przedstawicielami kultury, życia społecznego. Prace zostaną wydane w tomie pokonkursowym. Wręczenie nagród nastąpi na uroczystej gali z udziałem patronów i innych gości. Mile widziane będą formy multimedialne, prezentacje czy krótkie filmy. Prace należy nadsyłać w nieprzekraczalnym terminie do **15 maja 2010**, wyłącznie drogą mailową na adres konkurs@wspomnieniesolidarnosci.eu.

Dodatkowe informacje można uzyskać także w Fundacji „Świat na TAK” Al. Szucha 27 00-580 Warszawa, Polska, tel. 48 22 629 63 34.

Rozstrzygnięcie konkursu będzie miało miejsce 6 czerwca 2010 r., a ogłoszenie wyników i wręczenie nagród 27 czerwca br. w TVP Polonia w Warszawie.

Źródło - strona internetowa konkursu:
www.wspomnieniesolidarnosci.eu

A Magyar Kapcsolat - Węgierski łącznik

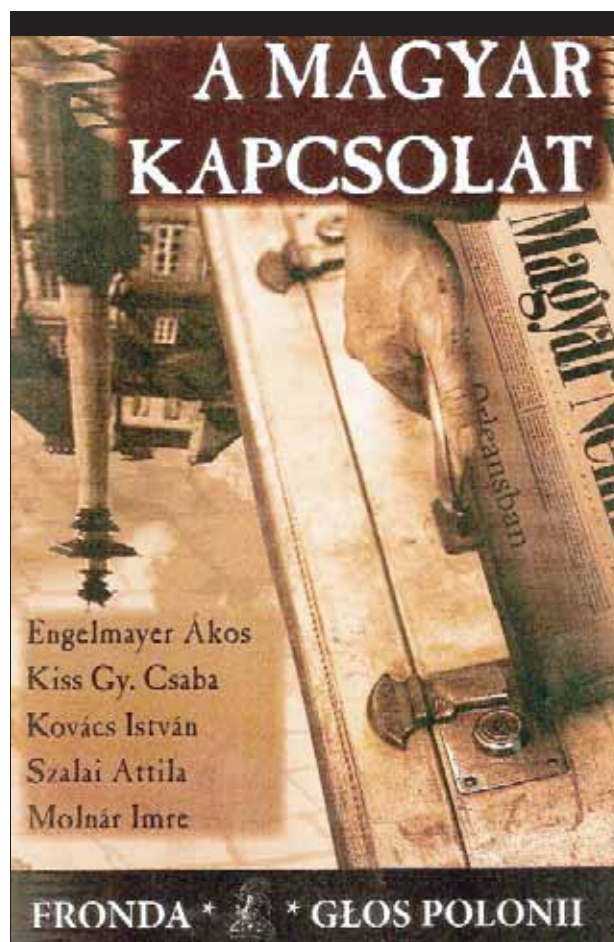
Na przełomie roku 2009 i 2010 światło dzienne ujrzało niecodzienne wydawnictwo. Historia jego powstania sięga 20 maja ub. roku, kiedy to redakcja „Głosu Polonii” zorganizowała pierwszą na Węgrzech promocję wydanej w listopadzie 2008 roku przez „Fronde” książki „Węgierski łącznik”. Wówczas w Polskim Stowarzyszeniu Kulturalnym im. J. Bema w Budapeszcie zgrupowali się przedstawiciele polonijnych i polonofilskich elit intelektualnych, a specjalnie na tę okazję z Polski przybyli jej autorzy Grzegorz Górny i ojciec Paweł Cebula, a także trzech (spośród pięciu) jej budapeszteńskich bohaterów, wybitnych przyjaciół Polski i Polaków: panowie Csaba György Kiss, István Kovács i Attila Szalai.

„Węgierski łącznik” to zbiór przejmujących rozmów z Węgrami, którzy w czasach komunistycznych przez całe lata pełnili rolę pośredników między środowiskami opozycyjnymi w Polsce i na Węgrzech. Dzięki ich osobistym relacjom możemy poznać wpływ, jaki na kształtowanie się węgierskiej opozycji antykomunistycznej wywarło polskie doświadczenie oporu wobec systemu. Możemy też zrozumieć, dlaczego Polska była dla węgierskich dysydentów głównym punktem odniesienia – swoistą oazą wolności w krajobrazie niewoli.

„Kiedy przed dziesięć laty byliśmy w Budapeszcie (pisząc we wstępie do książki jej autorzy), dowiedzieliśmy się, że 36 posłów ówczesnego parlamentu węgierskiego (czyli 10% składu izby) zna język polski. (...) Zastanowiło nas pytanie, skąd wzięło się aż tak duże zainteresowanie naszą mową wśród tamtejszej klasy politycznej. Okazuje się, że wielu czynnych dziś polityków węgierskich należało do tzw. pokolenia autostopowiczów, dla których Polska w czasach komunistycznych była oknem na świat, swoistą enklawą swobody w bloku realnego socjalizmu. (...) Nasz kraj stał się głównym punktem odniesienia dla

węgierskiej opozycji antykomunistycznej. Ale byli przecież do tego potrzebni łącznicy...”

Książka składa się z relacji pięciu osób: Istvána Kovácsa, Imre Molnára, Ákosa Engelmayera, Csaby Gy. Kissa oraz Attili Szalai i właśnie podczas owej



majowej prezentacji okazało się, że istnieje bardzo duże zainteresowanie tą książką również w środowisku węgierskim i to wówczas zrodził się pomysł rozpoczęcia starań nad stworzeniem wydania węgierskojęzycznego. Sprawami organizacyjno-redakcyjnymi w zupełnie naturalny sposób zajęła się redakcja naszego kwartalnika, bohaterowie opowieści – wszyscy znający język polski i węgierski zaoferowali bezpłatne tłumaczenia, a z pomocą finansową na wsparcie pokrycia kosztów druku książki przyszły Rada Stołeczna miasta Budapeszt oraz Urząd Województwa Peszteńskiego. Szczególne słowa podziękowania w tym względzie należą się panom Miklóswi Csómosowi i Tiborowi Szépowi, no i naturalnie warszawskiemu wydawnictwu „Fronde”, które bacząc na szlachetny cel zupełnie bezpłatnie odstąpiło grafikę i prawa autorskie do wydania książki. Węgierskie wydanie „Łącznika” jest lustrzanym odbiciem wydania polskiego z pewnymi uzupełnieniami ze względu na węgierskiego czytelnika i nosi tytuł „A Magyar kapcsolat”. Redakcją książki, która miejmy nadzieję, że stanie się poważnym przyczynkiem do polonijnych obchodów 30-lecia powstania „Solidarności” na Węgrzech, zajęła się Bożena Bogdańska-Szadai i Attila Szalai, a jej wydawcą, obok Wydawnictwa „Fronde”, jest „Głos Polonii” i PSK im. J. Bema.

red.

Wiosna przed Sierpniem

Oto kolejne fragmenty z przygotowywanej do druku książki Attili Szalai, której roboczy tytuł brzmi: „Polski dziennik” (Lengyelország napló). Tym razem rzecz się dzieje na kilka miesięcy przed oficjalnym wybuchem „Solidarności”. (Redakcja)

Warszawa 20 kwietnia 1980 roku

Do RSW Książka-Prasa-Ruch przyjechała delegacja szefostwa węgierskiego Lappiadó Vállalat, a polski partyjny konsern prasowy mnie zaangażował na tłumacza. Nie po raz pierwszy u nich pracowałem, ale jak się okazało, tym razem po raz ostatni. Szefem delegacji był zastępca dyrektora generalnego i towarzyszyły mu dwie kobiety w średnim wieku. Jedna z nich to kadrowa, a druga sekretarz związków zawodowych. No i zaczęła się cała seria hulanków nomenklaturowych na linii Warszawa-Bgdogszcz-Toruń-Gdańsk-Olsztyn, z nocnym szczytowaniem w sobiepańskim stylu w murach średnio-wiecznego zamku Golubia-Dobrzynia oraz swoistą lekcją historii na ostatnim przystanku.

Węgierskim towarzyszom należy przypisać parę punktów dodatnich, gdyż wyraźnie nieswojsko czuli się od samego początku w feudalnej pompie, którą ich otoczono. Spotęgowało sprawę, że gospodarze bezustannie przechwalali się, jak znakomicie rzeczy się mają. Propaganda sukcesu zaś niewiele wspólnego miała z rzeczywistością, z którą chcąc niechcąc co krok spotykali się na ulicach czy w sklepach.

Faceci z RSW dumnie przedstawiali ileż to wydawnictw obejmuje ich konsern, jakimi rozległymi interesami się zajmują i ileż to tysięcy kiosków Ruchu w całym kraju też do nich należy, a w nich od prasy, książek, różnorakich broszur, pasty do zębów po prezerwatywy, od spinek do włosów po proszek do prania po rozmaite inne bzdety – wszysciusięńko można dostać, jakie to przynosi zyski, ile miliardów złotych. A ten zysk – dodawali puszcżając oko – „naturalnie” trafia w całości do kasy PZPR. Węgrzy troszkę im zazdrościli tej wielkości, ale w swoim gronie dodawali też inne komentarze, krytykujące sytuację w Polsce, odczuwalną wobec społeczeństwa arogancję wyżej postawionych partyjniaków, cicho kręcili głową poznając jakimi przywilejami dysponują. Szczególnie nie podobało im się, gdy zaprowadzono ich do warszawskich Domów Towarowych Centrum, gdzie na najwyższym piętrze, w tajemnicy przed resztą świata, znajdował się sklep specjalny dla wybranych. Można było tam kupić to wszystko, czego nawet nikłego śladu nie było w sklepach dla zwykłych ludzi, chociażby na stoiskach o jedno piętro niżej. „U nas coś podobnego było w latach pięćdziesiątych – pomrukiwali pod nosem – Zupełnie jak w Moskwie, pamiętasz?” Jednak to i owo goście tam nabyli. A tłumacz pozostał tłumaczem.

I tak to szło ciurkiem, prawie bez żadnych merytorycznych rozmów, same wielkie żarcia, obiady, kolacje, kawki, herbaty, trunki, fikuśnie urozmaicone zwiedzania miast, wahadłowe ruchy od urzędów do knajp i z powrotem. Na rogatkach województw czy miast nasze czarne wołgi stołeczne spotkały miejscowe czarne wołgi, z których w towarzystwie lokalnych towarzyszy wysiadały ubrane w ludowe stroje kobiety



i mężczyźni, by chlebem i solą oraz nieodłącznym kieliszkiem wódki przywitać gości. „Kurde, czy byśmy byli jakimś ministrami czy co?” – mamrotał węgierski dyrektor, ale starał się robić dobrą minę do kiepskiej gry. Wojewódzkie władze RSW, miejscowa śmietanka nomenklatury wizytę węgierskiej delegacji uznała za znakomitą okazję do organizowania rubaszných balang.



Jedna z najbardziej zdziaczałych miała miejsce na zamku w Golubiu-Dobrzyniu. Wyruszyliśmy po południu z Torunia, zrobił się ciemny wieczór, kiedy dotarliśmy na miejsce. W mroku przywitał nas nadszwyczaj romantyczny obrazek: w bramie zamku na straży stało dwóch konnych witeziów trzymających w garściach pochodnie. Zakuty od stóp do głów w zbroję dyrektor muzeum dzwoniąc swym żelastwem wynurzył się do przodu i „staropolskim” orędem przywitał delegację inostrañców oraz obstawiających ją towarzyszy. W rękach trzymał kodeks w twardej oprawie, wysunął go do przodu oznajmiając, że zgodnie z miejscową tradycją kulturalną tylko ten może przekroczyć bramę zamku kto wpisze się do owej księgi gości.

Stojący w świetle pochodni Węgrzy trochę bezradnie spoglądali na siebie i pozwolili sobie na uwagę, że będzie tu nieco trudno pisać i czy nie można by tego zrobić wygodniej wewnątrz zamku. Ale nasz towarzysz rycerz pozostał nieugięty i rzekł stanowczo, iż zadanie należy wykonać tu i teraz, bo inaczej wara, mowy nie ma by wejść do środka. Z hukiem uderzył w górny oprawę kodeksu. Wieko

otworzyło się i zobaczyliśmy, że ta księga jest właściwie pudłem podzielonym w środku przegródkami, w które włożone są różnego rodzaju i koloru kieliszki

wódki. A więc zgodnie z „miejscową tradycją kulturalną” wpisanie się do księgi oznaczało wypicie przynajmniej jednego kielicha. Hm, nawet analfabeta z tym sobie poradził!

Oj, biedni Krzyżacy, którzy początkiem XIV wieku zamek ten zbudowali! Oj, nieszczęsna Anna Wazówna, młodsza siostra polskiego króla Zygmunta, która na początku XVI wieku mury te ubogacała sztuką renesansu! Gdyby oni to słyszeli! Gdyby wiedzieli, że tradycja ich kultury niby przejawia się tutaj picciem wódki przez towarzyszy! I jak by na to patrzył Napoleonowi Bonaparte, który w swoim czasie umieścił tu szpital wojskowy... A co dopiero by powiedział całkowicie abstynent Adolf Hitler, który ongiś założył na zamku centrum szkoleniowe Hitlerjugendu?

Wypiwszy „kulturę” weszliśmy do środka. Na dziedzińcu zamku stały suto zastawione stoły z zupełnie niewyobraźalnym wyborem wędlin, ryb, wędzonych doskonałości, pętami kielbas. Same takie rzeczy, których zwykły Polak od lat nie znał w ogóle, bądź słyszał o nich wyłącznie z opowieści. W jednym rogu ogromny tryk kręci się na ruszcie, a jak się dowiadujemy w nim znajduje się indyk, w indyku kapłon, w kapłonie gołąb i to wszystko piecze się już od wczoraj. Koło kupy żaru pod oszalałającym rarytasem powinności czyni o twarzy pełnej zmarszczek dziadek, kłapiący wciąż kiepską państwową proteżą dentyścianą. Chyba ma z 80 lat. Przyodziany w tanią sukmanę mistrz wygląda zupełnie tak jak chłop pańszczyźniany sprzed wieków. Członkowie polskiej ekipy wyjaśniają: człowiek ten jest jedynym w okolicy, który zna się jeszcze na sztuce takiego pieczenia, ponoć służył przed wojną u miejscowego wielmoży.

Węgierska delegacja, jak już wspominałem, składała się z jednego mężczyzny i dwóch niewiast. Centrala RSW dołączyła mnie jako tłumacza, a naszym cicerone był szef protokołu konsernu partyjnego, wyrafinowany czerwony playboy koło czterdziestki, facet niby na luzie, o przebiegłych oczach, zgrywający się na światowca. W sumie pięć osób. Miejscowych potentatów zaś było około trzydziestu, prawie wszyscy płci męskiej. Zebrali się tu jak sępy wokół padliny. No tak, okazja.

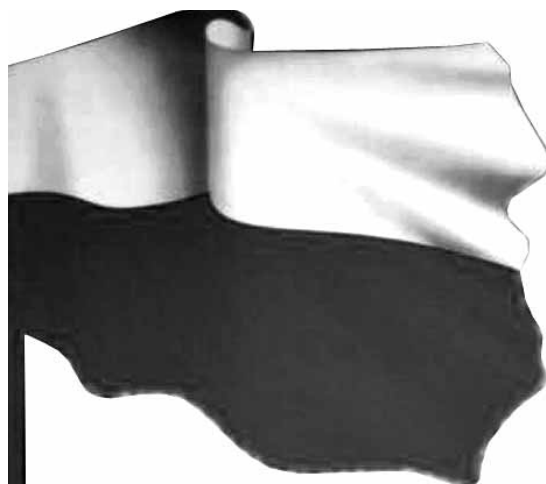
Kolejną atrakcją wieczoru był występ miejscowego zespołu ludowego. Chyba z dwadzieścia wartych grzechu kobitek, tyle samo młodzieńców. Oklaski,

wódka, oklaski, coraz bardziej durne, rutynowe i stereotypowe serie toastów. I jedno bardzo nie-sympatyczne interludium. W pewnym momencie do piekącego tryka dziadka doskoczył nie mający więcej niż trzydziści lat porządkowy, ciemny typ o wyglądzie ubeka i wymierzył mu straszny policzek. Sztuczna szczeka wyleciała biedakowi z ust, prosto do żaru – i diabli ją wzięli. Okazało się, że staruszek zwędził z pańskiego stołu jedną laskę kabanosów, którą schował pod fartuch, ale czujny junak złapał go na tym.

Starzec sepleniąc, płacząc przeproszał: nigdy w życiu jeszcze niczego nie ukradł, a teraz tylko i wyłącznie dlatego to zrobił, żeby dać wnukowi, który dotąd nigdy nie widział kabanosa, a smaku i aromatu przecież nie da się opowiedzieć słowami. Jeden z obertowarzyszy polskich wspomniałomyślnie obiecał staremu, że naprawią mu protezę i że może zabrać sobie ukradzionego kabanosa. „No dobra, dobra, konsumujcie i wy towarzyszu!” A potem coś poszeptał do ucha skrupulatnemu młodemu ubekowi, na co tamten z kwaśnym, złym uśmiechem w kącie ust wycofał się. Przeproszali też dziwacznych się sceną Węgrów i operetkowy pokaz tańca ludowego mógł odbywać się dalej. Jedzenie, picie, toasty, oklaski, jak gdyby nigdy nic, wszyscy byli coraz bardziej zapruci. Węgrzy już od pewnego czasu udawali tylko, że piją, widać było, że mieli już dość. Ja miałem znacznie łatwiejszą sprawę: przy każdej nowej kolejce powoływałem się na to, że jestem w pracy i nie mogę się upić.

Następnie widzimy coś takiego: tancerze przebraли się w cywilne ciuchy i wychodzą, a tancerki w strojach ludowych pozostają nadal. Z zawadiackim uśmiechem na twarzy sekretarz komitetu wojewódzkiego zwraca do nas: „Niech pan powie naszemu przyjacielowi dyrektorowi, że może sobie wybrać którąś z panienek... W zamku są porządne apartamenty i tak tu będziemy nocować” – mówi ziewając mi w twarz alkoholowym chuchem. Poczulem się trochę głupio, bo musiałbym propozycję przełożyć na węgierski tak, żeby tylko szef zrozumiał. Mam szeptać mu do ucha, podczas gdy Węgierki z delegacji stoją obok? W dodatku zdążyłem się zorientować, że nie tylko szef, ale i one znają rosyjski, a więc dość dobrze orientują się o czym jest mowa. Cóż, towarzysz sekretarz gadał głośno, to i tak już było wszystko jedno. Walę więc prosto z mostu.

Mój dyrektorek podniósł głowę, czuje się nieco zmieszany, panie patrzą znacząco na siebie. Aż kadrowa niby żartobliwie mówi: „A cóż to za dyskryminacja?! Nam nikt nie zaofერuje młodzieńców?!” Kobiety trzaskając torebkami i wstając od stołu, już widać, że żarty były rzeczywistością na „niby”, a tak naprawdę serdecznie mają dość. Szef w mig czuje powagę sytuacji, przyjmuje oficjalny wyraz twarzy i cedząc słowa oświadcza: „No dobra. To już koniec na dzisiaj. Proszę przyprowadzić auto. Wracamy do Torunia. Jutro mamy nowe



PRZEWODZI PARTIA

zajęcia, jedziemy dalej i trzeba się wyspać”. Wojewoda jest strasznie zawiedziony i dobrze, że uważałem na dokładność tłumaczenia, bo facet przechodzi na rosyjski i bezpośrednio próbuje przekonywać gości. Ale ci są nieugięci. Wyraźnie obrażeni polscy towarzysze niechętnie odprowadzają nas do wyjścia. Następnego dnia rano zaś żegna nas jedynie zastępca dyrektora miejscowego oddziału RSW. Co ważniejsi pewnie nie mogli zaprzestać hulanki i teraz sżywni śpią. Nie pozwolili, żebyśmy do końca im popusuli zabawę.

Wizyta w Gdańsku przeszła w miarę spokojnie. Ale za to Olsztyn! Już to było podejrzane, że na rogatkach województwa nawet pies z kulawą nogą nie czekał na nas. Nasz czerwony playboy nerwowo próbował radiotelefonem komunikować się z gospodarzami, ale nie osiągnął większego sukcesu. Wtoczyliśmy się do miasta, prosto do komitetu partii. W biurze pierwszego sekretarza siedzi roztrzęsiona sekretarka. Ciężko wyksztusza z siebie, że cała śmietanka olsztyńskich towarzyszy pojechała wczoraj na polowanie i jeszcze nie wrócili. Playboy doszczętnie wkurwiony dzwoni do olsztyńskiej komendy milicji – okazuje się, że szefa tej placówki także nie widziano od wczoraj. Wygląda na to, że też poluje. Węgierską

delegację zmieszane urzędaszy kierują do miasta, dostajemy przewodnika, mamy spacerować.

Za godzinę pojawiają się tutejsze czarne Wołgi. Zażenowana obsługa zapewnia, że już teraz wszystko będzie w porządku i jedziemy na obiad. Zawożą nas na skraj miasta, do knajpy rybnej. Z zewnątrz nie wygląda to najlepiej, sala restauracyjna cuchnie stęchlizną i tanimi papierosami, taka sobie wegetująca speluna trzeciej kategorii. Przez zaporowaną kuchnię prowadzą nas na zaplecze do oddzielnej salki. Ocho, to już coś innego: czeka nas podobnie suto zastawiony duży, długi stół z jakimś miłośnym doczynieniem w Golubiu-Dobrzyniu.

Za uginającym się od smakołyków stołem wzdłuż całej długości ściany widnieje ogromne akwarium, a w nim pływają karpie, szczupaki, sandacze i różnego rodzaju inne ryby. Wybraniec, któremu udaje się przebrnąć aż tutaj, może sobie wydać wyrok na jakąś z nich, by za dwadzieścia minut spotkać ofiarę na swym talerzu.

Lokalni potentaci już zdążyli tu przyjechać po wielkim nocnym polowaniu. Na wpół sżywno pijani, raczej bez większych sukcesów próbują zapanować nad umęczonymi organizmami. Węgierskiego dyrektora posadzono przed akwarium pomiędzy mną i naszym playboym. Za nami pływają ryby, bulgocze napowietrzacz. Na przeciwko nas siedzi wojewódzki sekretarz partii, obok niego po obu stronach węgierskie kobiety. Towarzysz ten to wrak, spowolniały pijak w stanie ciamkająco-siorbającym, oczy ma mocno niewyspane, zakrwawione, podkrążone od ciężkiego trybu życia. Wiek trudny do określenia, może mieć zarówno pięćdziesiąt jak i sześćdziesiąt pięć lat. Chudy, niski, zamarynowany alkoholem facet o cytrynowym wyrazie twarzy. Ze dwa miejsca dalej siedzi szef wojewódzkiej bezpieki. Bawołowaty gość, łapy jak łopaty, gęba czerwona od wódki, zapewne też wypił niemało, lecz sądząc po rozmiarach cielska, chyba może wychlać sporo, zanim padnie. A teraz już jest do tego blisko. Trudno, w końcu każda wątrobą się podda, nawet te z warsztatów doświadczalnych KGB.

Rozmowa się ślimaczy, pomimo tego, że nasz playboy daje z siebie wszystko, aby nie siedzieć w martwej ciszy. Stara się podrzucać jakieś aktualne tematy, prosi o informacje o szkolnictwie, kulturze, czytelnictwie, turystyce, o prasie lokalnej, o wydawnictwach, Węgrzy zaś dyplomatycznie próbują te propozycje podjąć, ale sekretarz o cytrynowej twarzy olewa to wszystko, macha ręką jak gdyby muchy przeganiał. Widać, jest przywykły do tego, że to on rozdaje karty. I nasuwa mu się karta chwały i nostalgii. Zwraca się więc do ubeckiego wielkoluda: „Pułkowniczku drogi, nasi goście przede wszystkim muszą zdawać sobie sprawę z tego, gdzie są! Niech dowiedzą się, co to za kraina! Jak też wróciła w



ramiona naszej socjalistycznej ojczyzny!”

Tak o tym mówi ta małpa, jakby Prusy Wschodnie Niemcy oderwali od komunistycznej Polski, albo jakby przynajmniej utrata Warmii, Mazur, Pomorza, czy skrawka morza była grzechem śmiertelnym „tej śmierdzącej feudalnej bandy”, która rządziła Polską przed wojną. No tak, rozumie się, że w czasach zso-wietyzowanego kraju i społeczeństwa nic pobobnego nie mogłoby się wydarzyć! Pięknie.

Ubek nie daje się długo prosić. Wstaje i tubalnym głosem zaczyna opowiadać jak to ci paskudni faszyci, co prawda bez jednego strzału, oddali miasto, ale Rosjanie nie wierzyli im, o nie! I słusznie! Chodzili wszędzie od domu do domu i wykurzyli stąd śmierdzących Niemiaszków. Słowem cywilów, ale co to za różnica! Zabrali im kosztowności, wypieprzali ich na ulice, rozstrzeliwali na miejscu, a domy rozwalali, podpálali. Zrodziło się we mnie retoryczne pytanie: skoro nie było już w mieście niemieckich żołnierzy, to po cholere urządzali piekło? Po jakiego diabła niszczyli budynki?

Towarzysz cytryna jest coraz bardziej ubawiony i zachęca, by „pułkownik drogi” ciągnął dalej. „Powiedz im no, że też tam byłeś! No nie? Opowiedz im, jak robiliście miejsce tu na Prusach Wschodnich dla naszych!” Bawołowaty ubek już poci się z podniecenia i ciągnie dalej ochoczo, przerywając tylko pijackimi czkawkami. „Hehe, bywało tak, że zastrana nazistka pokazywała mi rzekomo chore niemowlę i piszczała, że to z takim ma wyjść na mróz?! Na wstępie puściłem serię z pepeszy w dziadka i babcię, którzy siedzieli przy stole, niech reszta zdaje sobie sprawę z powagi sytuacji. A ta suka jeszcze bardziej wyje. No to uwolniłem babę z problemu: złapałem jej bachora za nogi i ciach o ścianę jak kota! O jeszcze jednego nazistę mniej! Wynocha, kurwo Adolfa, pomagałem jej kolbą broni”. Ubek pomrukał zadowolony. „Szkoda by było zaraz ją rozwalić, była taką rosłą Brunhildą, cycowała, dupiasta, niech żołdacy wpierv mają z nią zabawę!”

Ogromnie się zacietrzewił, wraz ze śliną tryskała z niego nienawiść. W tym czasie playboy za plecami dyrektora pociągał mnie za marynarkę i nerwowo syczał: „Nie tłumacz tego co on mówi, bo nic ci nie zapłacimy. Rozumiesz?”

Próbowałem mówić coś innego, ale Węgrzy jednak czuli o czym i w jakim stylu jest ten wykład. Uspakajali mnie, abym tłumaczył dosłownie, a oni nie będą reagowali na to, nie wspią mnie. Z powagą kiwali głowami tak jakby rozumieli sytuację i utożsamiali się z tym co słyszeli. Zaledwie ubek zakończył swoją bohaterką opowieść, a towarzysze oklaskując go wypili na obie nogi, kiedy jedna z węgierskich kobiet z kamienną twarzą, po cichu ale stanowczo poprosiła: „Attila, niech pan powie towarzyszowi sekretarzowi, aby zdjął łapy z naszych ud, bo zrobimy awanturę!” Nie mając wyjścia, jak tylko umiałem najlepiej, w sposób grzeczny i spokojny przetłumaczyłem prośbę. Ale cytrynowy warknął na mnie: „Chuj ci w dupę, cwaniaku, co ty pleciesz?! Nic takiego nie mogły powiedzieć!” Puściłem mimo uszu epitety i zwracanie się per „ty” i z kamienną twarzą powtórzyłem prośbę pań. Sekretarzyna podniósł brwi i dawał znak ręką, że chce mi coś szepnąć do ucha. Wstałem i nachyliłem w jego stronę przez stół. A ten podstępem złapał

mnie za krawat i pociągnął tak, że straciłem równowagę. Nogi mi wysliznęły do tyłu i całą klatką piersiową wpadłem na zimny półmisek stojący między nami, prosto w sałatę jarzyniową. „Będziesz mi tu jeszcze kłamać, skurwielu!?” – zarechotał wyraźnie rozbawiony sekretarz i z lubością kłapnął w uda obie węgierskie kobiety. „Popatrzcie no, jak wygląda ten kłamczuch! Masz za swoje, gnojku!”

Akcja z krawatem wywaliła u mnie i tak już rozgrzany bezpiecznik. Krew mnie zalała, miałem dosyć. Zaparłem się, sięgnąłem tego drobnego śmiecia, złapałem za marynarkę i jednym zręcznym zama-



chem przeciągnąwszy go nad stołem wpakowałem jego łeb do akwarium. Jeszcze nie ustał łomot powyracanych misek i talerzy, ledwo zdążyłem gościa puścić, gdy usłyszałem metaliczny dźwięk. Był to odgłos naciągnięcia zamka pistoletu ubeka. Trzeba przyznać, że mimo zamroczenia pijackiego był szybki. Jak zobaczył mój „atak” na sekretarza, w mig wy dobył i zarepetował broń. Na szczęście kilka osób zawisło na nim i nie zdążył palnąć. Zimny dreszcz przeszył mój kręgosłup, ale udało mi się zapanować nad sobą. Z odrazą, jakbym ubrudził ręce gównem, puściłem typa, który po umoczeniu przypominał facecika ze starej reklamy trunku Unicum. Jakoś schodzili mi wszyscy z drogi, a ja udałem się do toalety, by doprowadzić się do porządku.

Kiedy rozebrany do pasa właśnie prałem koszulę, wszedł playboy z RSW. Stanął za mną, widziałem jego czerwoną jak burak gębę w lustrze. Złowieszczo syczał: „Spierdoliłeś sprawę, kozaku. Chyba rozumiesz, że pracowałeś u nas po raz ostatni?! Co ty sobie wyobrażasz, do kurwy nędzy? Z zapłatą możesz się pożegnać! I mōdł się, żebyś większych kłopotów z tego nie miał!”

Nawet nie odwracając do niego z lodowatym, odbijającym się w lustrze spojrzeniem powiedziałem mu: „Maluczki ty, kutasie jeden. Pocałuj mnie w dupę. I to po sraniu. Nie jestem waszą szmatą do podłogi, kapujesz?”

Węgierska delegacja do czasu aż wyszedłem czekała na zewnątrz. Wszyscy opowiedzieli się po mojej stronie. „Spoko – mówił dyrektor – nie zostawimy cię na lodzie. Bez obaw. Czego oni chcą od ciebie?” Powiedziałem, co usłyszałem w kiblu. „No tak – kiwał głową – mogłeś jeszcze ciut wytrzymać, po tym jak cię wciągnął ten wariat w sałatę sam chciałem zakończyć to niesmaczne spotkanie. Ale już trudno, stało się”. Po czym odwrócił się do playboya i po rosyjsku powiedział mu, że bardzo by nie chciał aby tłuma-

czowi spaść chociażby jeden włos z głowy, mają zapłacić tak jak trzeba i zostawić go w spokoju? I wyprasząc sobie takie historie, jak na przykład ta dziesięjsza i to co się stało na zamku. Playboy przeproszał, coś tam jednak gadał na temat moich słabych nerwów, ale udawał, że przymuje słowa gościa do wiadomości. A dyrektor w samochodzie w drodze do Warszawy zamyślony stwierdził: „No, chłopie, w tym kraju za niedługo wybuchnie porządna awantura, zobaczysz. Wracaj na Węgry, póki nie będzie za późno”.

Pojęcia nie mam, czym ten facet zasłużył na takie poważne stanowisko wydawniczo-prasowe na Węgrzech, a zasłużonym musiał być, to mur i beton, inaczej byłby dużo niżej na drabinie nomenklatury. Kádár jest purytaninem, czy zgrywa się na takiego, a więc może po prostu podobnych do siebie wywyższa. Nie wiem co dyrektor robił w czterdziestym piątym, czy w latach pięćdziesiątych, sześćdziesiątych i później, ale czułem w jego głosie poważne obawy. Z trudem powstrzymywałem się, żeby mu nie powiedzieć, ja akurat nie mogę się już doczekać tych awantur... A tak w ogóle: czy to u nas jest aż tak lepiej? Nie ma takiego burdelu w zaopatrzeniu, to prawda. Ale tu przynajmniej można otwarcie pyskować, mało kto się boi. I można wiele innych rzeczy robić też: ot, czytać podziemne gazetki, chodzić do dyskusyjnych klubów filmowych, gdzie wyświetlają takie filmy, jakich nigdy i nigdzie nie zobaczysz w innych krajach socjalistycznych, nie mówiąc o wolności życia artystycznego – no i mógłbym jeszcze długo wymieniać. Ale tego wszystkiego oczywiście nie powiedziałem węgierskiemu towarzyszowi o ludzkiej twarzy.

Następnego dnia dostałem wypłatę zgodną z zawartą wcześniej umową, chociaż dziwnym wydało mi się, że zapłacili mi jeszcze przed wyjazdem delegacji. Prezes RSW osobiście przeprosił Węgrów za olsztyński incydent, paniom z wyrazami ubolewania przyniósł ogromny bukiet róż. Dyrektor węgierski jednak zapytał, za czyje pieniądze kupiono te kwiaty. No, na koszt RSW, wybałuszili oczy polscy towarzysze. A to w takim razie dziękujemy, nie przyjmujemy ich – oświadczył szef węgierskiej delegacji. To było zarazem pyszne i bajecznie wstrętne. „Mówię ci przyjacielu, wracaj do domu póki nie będzie za późno” – powtórzył raz jeszcze na lotnisku szef Lapkiadó Vállalat. „Dzięki, przemysłem to jeszcze” – odpowiedziałem mu.

Na Okęciu jak tylko goście zniknęli w autobusie podstawionym przed poczekalnią dla VIP-ów, playboy z RSW szyderczym uśmiechem zwrócił się do mnie: „Teraz ci się upiekło, bracie. Ale ze względu na twój słaby system nerwowy jesteś nieodpowiednim materiałem na tłumacza pracującego na takim poziomie i nie licz na dalszą współpracę. A teraz możesz wracać do miasta czym chcesz”. I zostawił mnie.

Ani trochę nawet nie żałowałem. Przypomniał mi się obraz z Olsztyna, puszczający w akwarium bąbelki sekretarz z cytrynową gębą. O mało głośno nie zarechotałem... Przynajmniej jednemu z nich pokazałem gdzie jest granica.



NASZ JEZYK – NASZE KONDYCJE

- rzecz o języku ojczystym i nie tylko

„Słowo jest wielkim mocarzem [...], który za pomocą bardzo małego i ukrytego organu (języka) wywołuje rzeczy na miarę boską. Zdolne jest bowiem i strach uśmierzyć, i troskę odsunąć, radość wzbudzić i współczucie pomnożyć.”

Język jako wspólnota kulturowa

Pierwszym chyba moim świadomym, a więc pamiętnym kontaktem z językiem polskim były bajki czytane przez Mamę do snu, a najbardziej „Chory kotek” Stanisława Jachowicza; czytała mi ją też wtedy, gdy sam byłem chory nie rozumiejąc przy tym kontekstu – fakt, miałem zapalenie, lecz nie z powodu przezięczenia. Później sam czytałem – obok sławnych pozycji literatury światowej w języku węgierskim – lektury polecane przez rodziców lub „narzucone” przez program nauczania... Sam walczyłem na Mokatowie z „Iliadą” i „Odyseją” Homera jak Patroklos z Trojanami albo jak przywiązany do tratwy Odyszeusz z syrenami – miałem wtedy 11 lat; jak widać nigdy nie jest za wcześnie, aby zaprzyjaźniać się z literaturą, z dorobkiem kultury europejskiej i jej piśmiennictwem.

Język jest chyba podstawowym narzędziem i atrybutem danych kultur (narodów) i społeczności, ich komunikacji przede wszystkim i tworzenia specyficznych (czyli wy- lub odróżniających się) kręgów kulturowych nade wszystko. Język jest więc kreatorem (kreacją), ale też – jako obraz i odbicie stanów umysłowych kultur i społeczności – kreaturą. A więc opisując rzeczywistość i tym samym rzeczywistością wytworzoną (przecież pamiętamy i wiemy: słowo ciałem się stało). Choć każdy z języków się zmienia, w danym przypadku jest pod wpływem innego, mocniejszego (np. stan niewyrównanej dwujęzyczności), nie jest także tworem jednolitym (ani terytorialnie, ani stylistycznie), i choć w danym języku doświadczamy różnych dyskursów (tj. uprzednio uregulowanych i zakodowanych sposobów mówienia – co za niewola!), w każdym z nas tkwi podstawowe i ogromne pragnienie: zrozumieć i być zrozumianym. Jest to też – idąc za myślą Gorgiasza – pragnienie po prostu „dobrego słowa” (węg. „jó szó”). Nie wdaję się w moralizatorstwo – czytelnicy i słuchacze i tak zawsze wyczuwają (przynajmniej powinni mieć na tyle dobry smak i nabyte obyczaje aby wyczuwać) czy ich mówca lub głos mówiący jest autentyczny czy nie. Czy napawa go gniew, nienawiść i agresja (czyli pustka i bezradność), czy jest wypełniony radością, dobrocią i światłem – czyli nadzieją. I tu już docie-

ramy do postrzeżenia księcia Myszkina z Idioty: „świat zostanie zbauwany poprzez piękno”... Jak trafnie wyraża język węgierski ale i polski: literatura piękna (węg. „szépirodalom”) – nasze pragnienie słowa dobrego jest zarazem pragnieniem słowa pięknego, piękna jako takiego (właśnie pożegnaliśmy w tutejszym muzeum sztuk pięknych „Damę z łasiczką” Leonarda da Vinci).

Posługując się językiem polskim (właśnie tu, na łamach naszej gazety), przedstawiając utwory, myśli i teksty w polszczyźnie, sięgamy do swoich korzeni; w otoczeniu języka nadrzędnego (w tym przypadku węgierskiego) dajemy przykład odrębności i tym samym świadectwo śladu innej po trosze jak węgierska kultura. A więc dajemy przykład wolności. Wolności słowa. I wolności sensu stricto.

Warto przytoczyć słowa marszałka senatu Bogdana Borusewicza (z uchwały senatu Rzeczypospolitej Polskiej z dnia 22 grudnia 2005 r. w sprawie ustanowienia roku 2006 Rokiem Języka Polskiego):

„Polszczyzna łączyła w przeszłości i łączy dziś wszystkich Polaków, bez względu na miejsce zamieszkania, wiek, poglądy polityczne i wszelkie inne różnice czy odrębności. Nie ma innego dobra tak powszechnego i tak ważnego dla nas wszystkich jak język ojczysty.

Po polsku rozmawiamy, przekazujemy swoje uczucia, uczymy mówić nasze dzieci, wyznajemy wiarę, piszemy wiersze. Możemy mieć różne poglądy, zajmować różne stanowiska w wielu kwestiach, możemy się spierać, dyskutować, ale zawsze będziemy to robić po polsku i nie jest obojętne, czy będzie to język różnorodny i bogaty, piękny i poprawny, etyczny i estetyczny, czy też ubogi i prymitywny, pełen sloganów i nieporadnych sformułowań, niepotrzebnych zapożyczeń i wulgaryzmów. Język jest podstawowym składnikiem tożsamości Polaków i dobrem kultury narodowej. [...] Senat wyraża przekonanie, że w Roku Języka Polskiego należy pokazywać polszczyznę w jej bogactwie i w całej różnorodności – od języka ogólnego do odmian regionalnych i gwar ludowych, w których często wyraża się kultura małych ojczyzn; od stylów artystycznych do wypowiedzi zawodowych i środowiskowych, od języka pokolenia najstarszego do gwary młodzieżowej. [...] To, jaka będzie polszczyzna, zależy przede wszystkim od nas samych, od naszej postawy wobec języka ojczystego; gospodarzami języka są bowiem wszyscy nim się posługujący. W opinii Senatu ochrona i rozwijanie języka polskiego pozwoli zachować tożsamość kulturową i świadomość odrębności we wspólnej, ale przecież różnorodnej Europie. Wejście do Unii Europejskiej spowodowało, że troska o polszczyznę nabrała nowego wymiaru: nasz język stał się piątym (pod względem liczby użytkowników) językiem Unii Europejskiej i istnieje duża szansa na to, by stał się także jednym z najważniejszych języków europejskich. Powinniśmy więc nie tylko dbać o polszczyznę w kraju, lecz także upowszechniać ją poza granicami Polski. Polszczyzna nas łączy i niech to będzie język bogaty, poprawny i piękny. Z tych względów Senat zwraca się do władz publicznych i Polaków o ochronę, otaczanie opieką i kultywowanie polszczyzny.”

Chyba można się zgodzić także z banalnymi choć zastanawiającymi uwagami Jana Owczarka, mianowicie że kultura języka jest częścią kultury w ogóle:

„Język nasz staje się coraz bardziej niedoskonały, czasem wręcz prostacki a nawet wulgarny. A jednocześnie często mamy pretensje do uważania siebie za ludzi kulturalnych. Najgorsze jest to, że ulegają temu zwrotczeniu zasad kulturalnego mówienia ludzie młodzi, dla których „bluzganie” jest formą młodzieżowego szpanu,

a niekoniecznie ich własnym językiem. [...] Brzydki i nie dbale mówią także starsi. Gdy trudno wyrazić myśl, brakuje słów, są one zastępowane protezami w postaci wyrazów wulgarnych. Niska kultura językowa (czyli: niska kultura) nieobca jest też ludziom, wydawałoby się, wykształconym i z racji zawodu dbającym o język swój i mowę otoczenia. Bylejakość języka pojawia się w wypowiedziach dziennikarzy, nauczycieli, księży, pisarzy. A przecież oni powinni stanowić dla reszty społeczeństwa wzór pięknego mówienia. Psychologowie, krytycy sztuki próbują to zjawisko uzasadnić tym, że życie jest pośpieszne i byle jakie, więc język jest po prostu jego naturalnym odzwierciedleniem. To łatwe usprawiedliwienie, ale nie można się z nim zgodzić. Tak jak nie można się godzić na kłamstwo, kradzież, łajdactwo [...] A przecież myślimy w języku. Język pozwala nam „ponazywać rzeczy i pojęcia” (Różewicz), określić nasze położenie w świecie nieustającego potoku informacji, zwerbalizować naszą gmatwaninę myśli. Wówczas uświadomiamy sobie wiele rzeczy, które były dotąd dla nas niejasne. Potrafimy zdemaskować językową manipulację, jaką się wobec nas stosuje. Im prymitywniejszy, uproszczony język, tym uboższe nasze myślenie i nasza wzajemna komunikacja. Takim społeczeństwem, w myśl zasad inżynierii społecznej, steruje się łatwo i bezproblemowo. Im mniej czytamy, tym mniej wiemy. Dlatego zachęca się nas do prostych znaków, prostych przekazów. [...] Sztuka ładnego i mądrego mówienia to umiejętność przekazu nawet trudnych zagadnień w sposób jasny i możliwie prosty. Obserwuję, że często ci, którzy sami niewiele rozumieją z tego, o czym mówią, starają się nadać swoim wypowiedziom „arcy-uczony” ton, żeby inni też tego nie zrozumieli. A szczególnie w zawodzie nauczycielskim chyba rzeczą najważniejszą jest, by rzeczy trudne czynić łatwymi. Nie odwrotnie! Osobną sprawą jest bylejakość przekazu ze strony tych, którzy powinni świecić przykładem. Ważne jest nie tylko mówienie piękne, ale mówienie wyraźne i wyraziste, interesujące. Gdy dziennikarz, nauczyciel czy kapłan mówi niewyraźnie, znużonym i monotonnym głosem, kogo zainteresuje? Kogo chce porwać, kogo poruszyć choćby najszlachetniejszymi argumentami? Zagłuszy go kolorowa reklama, rubaszny dowcip, uliczny i internetowy bluzg. [...] Często ludzie niewykształceni mają więcej delikatności i wrażliwości, także językowej, niż osoby z dyplomami. „Mowa twoja cię zdradza” – zwracali się uczestnicy do świętego Piotra, który bał się przyznać do swojego galilejskiego pochodzenia. Tak właśnie jest. Mowa nasza nas „zdradza”. Pozorna kultura i wyrafinowany, ale powierzchowny blichtrz szybko zostaje zdemaskowany przez niedostatki języka. Sama ustawa o ochronie języka polskiego nie uchroni kultury mówienia ładnego i prawego. Uchroni go mogą jego użytkownicy – czyli my...”

Język jako gra: myśli, znaczeń, kontekstów

Jeden z artykułów profesora Jana Miodka³ przywołuje chyba jedną z najwspanialszych cech i właściwości języka, do której sięgają nie tylko poeci lub prozaicy, ale i potoczni użytkownicy języka. Gry językowe, czyli gry ze znaczeniami oraz kontekstami możemy znaleźć w powiedzeniach, kawałach, w banalnych i przypadkowych przejęzyczeniach. Małe dzieci smakując, próbując języka najprzyjemniej i z bezgraniczną kreatywnością przekraczając język stwarzając nowe, zabawne i zadziwiające twory językowe. My, jako społeczność bilingwistyczna, czyli Polacy żyjący na Węgrzech sami doświadczamy w interferencji dwóch najbliższych nam

¹Gorgiasz, „Pochwała Heleny” [przeł. Krystyna Tuszyńska] [w:] Mirosław Korotko, „Sztuka retoryki – przewodnik encyklopedyczny”, Warszawa 1998, s. 250.

²Jan Owczarek, „Dbajmy o język polski” [w:] <http://polskaedukacja.pl/index.php/wychowanie/188-jan-owczarek-dbajmy-o-jezyk-polski.html>

³Jan Miodek, „Zabawa językowa”. „Wiedza i życie”, Warszawa 1997, nr 7.

języków zabawnych nieraz form językowych (np. kalki automatyczne typu „kapeć waniliowy”, „torba twarogowa”, lub poprzez odmienną wymowę głosek węgierskich zmiana znaczenia węgierskiego wyrazu czyli twory typu „apollónó” – „ápolónó”, „álándeon” – „állándóan” brzmiące po trochu jak Alain Delon, itp). W społeczeństwie konsumpcyjnym te zabawne gry językowe są też wykorzystywane do podsycania pożądania czegoś, co już w samej otocce jest fajne, „trendy” i zabawne; produkt jeszcze przed sprzedażą żyje własnym, wykreowanym stylem i światem, stając się bożkiem, który mówi własnym, wtajemniczonym językiem. Choć nie zgodzę się z Miodkiem, ażeby intelektualnej pociechy i satysfakcji szukać by należało w reklamach:

„[...] jeden z czytelników „Gazety Dolnośląskiej” napisał w liście do redakcji: «Przeczytałem w gazecie reklamę koncernu IKEA, w której informuje się, że gdy ktoś wybierze się na Bielany, to tam go urządką. Rozbawiło mnie to, ale jednocześnie zatrwożyło jako potencjalnego bywalca Bielana, który niekoniecznie będzie chciał kupić sobie meble. Są różne sposoby przyciągania klienta, ale taki slogan wykorzystuje na tyle negatywne skojarzenia, że chyba nie spełnia dobrze swojej roli». Nie odbierając nikomu prawa do najrozmaitszych odczuć, chcę jednak wyznać, że akurat tego typu slogany, nawiązujące do utrwalań związków wyrazowych, a więc oparte na grze, zabawie językowej, mnie osobiście najbardziej się podobają, dostrzegam w nich bowiem największą pomysłowość i inteligencję twórców reklam. A że zawsze miałem aprobatywny stosunek do wszelkich innowacji, to i takie operacje słowne sprawiają mi swoistą intelektualną satysfakcję. W przytoczonym przez czytelnika tekście igra się dwoma znaczeniami zwrotu urządzić kogoś: „wypożyczyć kogoś w odpowiedniej sprzęty, zagospodarować” (urządząliśmy Jurkowi mieszkanie, rodzice urządzili córkę w mieście) i „złe się komuś przysłużyć, wyrządzić komuś szkodę, krzywdę” (ładnie go urządzili, ma podbite oko). To drugie – ironiczne – jest źródłem trwogi korespondenta „Gazety Dolnośląskiej”. Piszę on jednak: „Rozbawiło mnie to...”

Fragmenty z listu Fryderyka Chopina do Tytusa Woyciechowskiego

(25 grudnia 1831, Paryż)

„Już drugi rok, jak Ci zza granicy dziesiątej [!] wieszować muszę imienin. Jedno spojrzenie na jawie może by Cię więcej przechowało w moim sercu, jak dziesiąt listów. (...) Dziwno to lud, jak wieczór przyjdzie – nic nie słyszysz jak tylko wykrzyki tytułów nowych książeczek ulotnych i czasem 3, 4 arkusze drukowanego głupstwa za sousa kupisz. (...) Wiesz, że tu teraz wielka bieda, pieniędzy mało kursuje, odrapańców mnóstwo spotykasz ze znaczącymi fizjognomiami... (...) Niższa klasa jest zupełnie rozjątrzona – i co moment radzi, by zmienić stan swojej nędzy, ale, na nieszczęście, zbyt wiele ostrożności



A ja mam ochotę zawołać: I o to właśnie chodzi, w tym całym ludycznym smaczku! Na identycznym mechanizmie asocjacyjnym zbudowany jest chyba najpopularniejszy polski slogan reklamowy – Ociec, prac? (nawet w notatce prasowej o remoncie pralni miejskiej wykorzystuje się go jako nagłówek). Dwaj bracia Kiemlicze, bohaterowie stworzeni przez Sienkiewicza, pytają ojca, czy mają prac – „bić”, a warstwa ikoniczna reklamy do tej sceny powieściowej nawiązuje; cały przekaz ma jednak służyć wyeksponowaniu pewnego środka piorącego, a zatem chodzi w nim i o dosłowne znaczenie czasownika prac – „usuwać brud, czyścić”. Oczywiście, zdarzają się nawiązania do wyrażań i zwrotów będących na granicy niedobrowości. Tak odbieram np. slogan NO TO FRUGO! Zachęcający do picia określonego gatunku soków, robi na mnie wrażenie żartobliwej modyfikacji potoczno-chuligańskiego no to lu go! Sprawa gardłowa to – w użyciu przenośnym – „sprawa pociągająca za sobą karę śmierci”. Sam przymiotnik gardłowy związany jest też jednak w sposób naturalny z gardłem. Można zatem żartobliwie powiedzieć, że ktoś, kto ma kłopoty z gardłem, ma także gardłową sprawę! Do tej asocjacji odwołuje się hasło „Strepsils najlepszy w gardłowej sprawie”, reklamujące określony lek. Na koniec wyznam: i mnie, jak wielu widzów, reklamy często irytują, drażnią. Ale że lubię śledzić wszelką językową twórczość i w nich owego aspektu nie mogę nie dostrzec. A ten, jak już powiedziałem, przynosi mi pewien rodzaj intelektualnej satysfakcji.” No tak, może podobnej do tej, którą sprawiała mi oniegdys pewna Mariola OKOCIM spojrzeniu...

Perypetie profesora Miodka przypominają mi pewien napis węgierski na okładce listopadowego numeru „Polonii Węgierskiej”, który mnie również rozbawił w epidemicznej histerii dot. świńskiej grypy i związanymi z nią szczepieniami. A oto napis: „Ducha nie gaście – A leket ne oltsátok” (czyli w tłumaczeniu z węg.: „Ducha nie szczepcie”). Jak widać kalki bezpośrednio lub niewystarczająca kompetencja językowa autora tekstu czy też zdezorientowanie przez drukarnię węgierskiego przedrostka czasownikowego „ki” wytwarzają znaczenie drugorzędne –

rząd ma na takowe rzeczy i na najmniejsze zebranie na ulicy się pospólstwa żandarmerią konną rozpędza. (...) Chciałbym Cię tu, nie uwierzysz bo, jak mi tu smutno, że nie mam komu się wyjęzyczyć. Wiesz, jak łatwo zabiorę znajomość, wiesz, jak lubię z nimi gadać o niebieskich migdałach, otóż takich znajomości mam po uszy (...) Do Ciebie pisząc nie cierpię, kiedy mi się dzwonek ruszy – i włączy jakieś coś z wążkami, duże, wyrosłe, tęgie – siadzie do fortepianu i samo nie wie, co improwizuje, wali, tłucze bez sensu, rzuca się, przekłada ręce, z pięć minut na jednym klawiszu grzechocze ogromnym paluchem, który gdzieś tam na Ukrainie do ekonomicznego batoga i do lejc był przeznaczony. (...) wesoly jestem zewnątrz, szczególnie między swoimi (swoimi nazywam Polaków), ale w środku coś mnie morduje – jakieś przecucia, niepokoje, sny albo bezsenność – tęsknota – obojętność – chęć życia, a w moment chęć śmierci – jakiś słodki pokój, jakieś odrętwienie, nieprzytomność umysłu, a czasem dokładna pamięć mnie dręczy. Kwaśno mi, gorzko, słono, jakaś szkaradna mieszanina uczuć mną miota! Głupszym niż kiedy. (...) Kończę, bo nie mógłbym go na pocztę odnieść. A człek sam pan, sam sługa. Pisz, zmiluj się. Ściskam Cię, twój do zgonu Fryc. (...)”

Z Albumu-dziennika Fryderyka Chopina

(1 maja 1831, Wiedeń)

„Dziwno mi, smutno mi – rady sobie nie wiem – czemuż ja sam! 1 maja 1831, Wiedeń Dziś było ślicznie na Praterze – mnóstwo osób nie obchodzących mnie

zupełnie adekwatne do powstałej sytuacji: szczepionki potrzebuje ciało słabe, a duch może się obejść nawet bez niej, bo jest nie z tego świata istniejąc ponad.

Język jako materiał konserwujący

Oddalając się w czasie i spoglądając na dorobek piśmiennictwa docieramy do różnych stanów języka i tym samym do różnych rzeczywistości i światów utrwalań i przedstawionych. Spisy, kodeksy, dokumenty fundacyjne, sylwy, listy, legendy, poematy, wiersze, powieści, nowele, czasopisma czyli formy i style języka utrwalań różnych epok konserwują i oddają po części to otoczenie, w którym powstały. Język zapisany to zatrzymany czas i zarejestrowane dzieje – to historia języka ale i język historii. Każdy z nas będąc uprzywilejowanym mistrzem teraźniejszości, mając potęgę i dar słowa musi mieć świadomość, iż wypowiedziane lub zapisane słowo to akt i czyn na miarę czynu rzeczywistego, iż słowo wypowiedziane trafia wnet do innych, zapisane trafia kiedyś do innych – nie jest więc bez znaczenia co i w jaki sposób dobieramy. Bowiem nasze zamiary i intencje chyba bardziej są zdradzane przez nasz styl niż samą treść – podobnie jak przy percepcji drugiej osoby komunikacja nonverbalna czasami jest arbitralnym wrażeniem i doznaniem.

W setnym jubileuszowym numerze „Głosu Polonii” tak więc świętujemy przede wszystkim nasz język ojczysty, nasze przebogate, kreatywne, stwarzające światy narzędzie porozumiewania się. Niektóre głosy z tzw. „środowiska polonijnego” straszą i wieszają na nas psy (aż się chrusciak malinowy trzęsie), iż nasz kwartalnik nie jest czasopismem polonijnym. Ciekawe zatem co mamy uznawać za wykładnik „czasopiśmiennictwa polonijnego” jak nie wolną sztukę wystawiania się w języku ojczystym na przeróżne tematy – przede wszystkim na te, które właśnie poprzez korzenie języka polskiego wyniosą nas z drętwej i jak mało kreatywnej egzystencji „mniejszościowej” na agorę kultury otwartego słowa i otwartego dialogu. Pamiętajmy zatem na co dzień o dobrym słowie względem siebie. Chyba nie wiele nas to kosztuje.



wcałe, zieloność uwielbiałem, zapach wiosenny – ta niewinność w naturze przypomniała mi dziecinne uczucia moje. Na burzę się zebrało, wróciłem, burzy nie było, tylko mnie smutek ogarnął – dlaczego? Ani muzyka dzisiaj mnie nie cieszy – już późno w noc, a spać mi się nie chce; nie wiem, czego mi brak – a już 3-ci krzyżyk zacząłem.”

Tekst i zest.: ABRA

Niezwykłe wspomnienie o Chopinie

**List księdza
Aleksandra Jełowickiego
do Ksawery Grocholskiej
Paryż, 21 października 1849 r.**

„Jeszcze pod wrażeniem śmierci Chopina piszę o niej słowo. Umarł 17 października 1849 roku o godzinie drugiej z rana. Od lat mnogich życie Chopina było jak na włosku. Ciało jego, zawsze mdłe i słabe, coraz bardziej się wytrawiało od ognia jego geniuszu. (...)

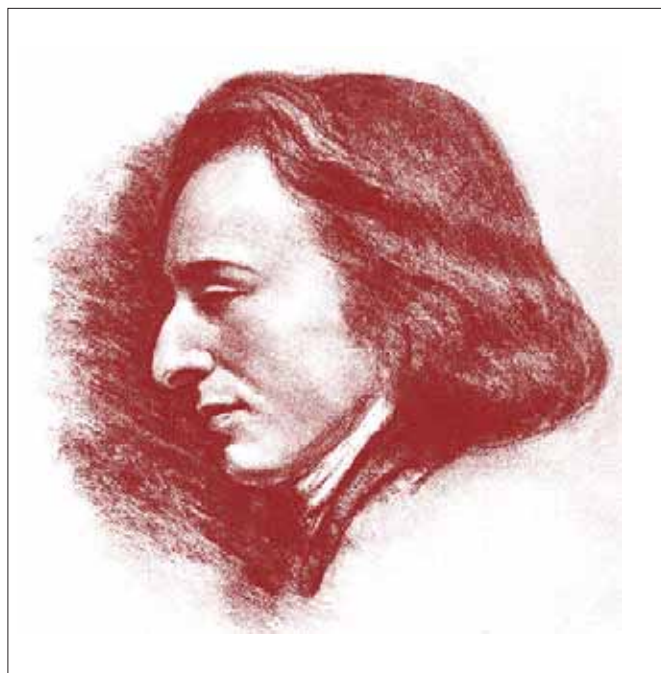
W takim to opłakanym stanie schwyciła go śmiertelna piersiowa choroba.

Wiść o tym spotkała mię, więc przy powrocie moim z Rzymu do Paryża. Wnet pobiegłem do tego od lat dziecinnych przyjaciela mego, którego dusza tym droższa mi była. Uścisnęliśmy się wzajem, a wzajemne łzy nasze wskazały nam, że już ostatkami goniliśmy... Skorzystałem z tej tkliwości jego, aby mu przypomnieć Matkę... i jej wspomnieniem rozbudzić w nim wiarę, której go była nauczyła. „Ach, rozumiem cię, rzekł mi, nie chciałbym umrzeć bez Sakramentów, aby nie zasmucić Matki mej ukochanej; ale ich przyjąć nie mogę, bo już ich nie rozumiem po twojemu.

Upłynęły długie miesiące w częstych odwiedzinach moich, ale bez innego skutku. Modliłem się wszakże z ufnością, że nie zaginie ta dusza. Modliliśmy się o to wszyscy zmartwychwstańcy, zwłaszcza w czasie rekolekcji. Aż oto 12 bm. wieczorem przyzywa mię, co prędzej doktor mówiąc, że za nic nie ręczy. Drżący od wzruszenia stanąłem u drzwi Chopina, które po raz pierwszy przede mną zamknięto. Jednak po chwili kazał mię wpuścić, lecz tylko na to, aby mi rękę uściskać i powiedzieć: „Kocham cię bardzo, ale nic nie mów, idź spać“.

Nazajutrz przypadł dzień św. Edwarda, patrona ukochanego brata mego. Ofiarując za jego duszę mszę świętą, tak prosiłem Boga: O Boże, litości! Jeżeli dusza brata mego Edwarda miłą jest Tobie, daj mi dzisiaj duszę Fryderyka! Więc ze zdwojoną troską szedłem do Chopina. Zastałem go u śniadania, do którego gdy mię prosił, ja rzekłem: „Przyjacielu mój kochany, dziś są imieniny mego brata

Edwarda“. Chopin westchnął, a ja mówiłem tak dalej: „W dzień mego brata daj mi wiązanie“. „Dam ci, co zechcesz“, odpowiedział Chopin, a ja odrzekłem: „Daj mi duszę twoją!“. „Rozumiem cię, weź ją!“, odpowiedział Chopin i usiadł na łóżku. Wtedy radość niewymowna, ale oraz i trwoga ogarnęły mię. Jakżeż wziąć tę miłą duszę, by ją oddać Bogu? Padłem na kolana, a



w sercu moim zawołałem do Pana: „Bierz ją sam!“. I podałem Chopinowi Pana Jezusa, ukrzyżowanego, składając Go w milczeniu na jego dwie ręce. I z obu oczu tryśnęły mu łzy.

„Czy wierzysz?“, zapytałem. Odpowiedział: „Wierzę“, „Jak cię matka nauczyła?“. Odpowiedział: „Jak mię nauczyła matka!“. I wpatrując się w Pana Jezusa ukrzyżowanego, w potoku łez swoich odbył spowiedź świętą. I tuż przyjął Wiatyk i Ostatnie Pomazanie, o które sam prosił... Od tej chwili przemieniony łaską Bożą, owszem, samym Bogiem, stał się jakoby innym człowiekiem.

Tegoż dnia poczęło się konanie Chopina, które trwało dni i nocy cztery... Wpółnoc najwyższych boleści wypowiedział szczęście swoje i dziękował Bogu... Dzień i noc prawie ciągle trzymał mię za obie ręce, nie chcąc mię opuścić, a mówiąc: „Ty mnie nie odstąpisz w

tej stanowczej chwili“... Dobrze mi, że tak umieram... Siostrzo moja kochana, nie płacz. Nie płaczcie, przyjaciele moi. Jam szczęśliwy! Czuję, że umieram. Módlcie się za mną! Do widzenia w Niebie“... To znowu do lekarzów usiłujących przytrzymać w nim życie powiadał: „Puśćcie mię, niech umrę. Już mi Bóg przebaczył, już mię woła do siebie!... Puśćcie mię; chcę um-

rzeć!“... W końcu on, co zawsze był wykwinnym w mowie, chcąc mi wyrazić całą wdzięczność swoją, a oraz i nieszczęście tych, co bez Sakramentów umierają, nie wahał się powiedzieć: „Bez ciebie, mój drogi, byłbym zdecht - jak świnia!“.

W samym skonaniu jeszcze raz powtórzył Najświętsze Imiona: Jezus, Maria, Józef, przycisnął krzyż do ust i do serca swego i ostatnim tchnieniem wymówił te słowa: „Jestem już u źródła szczęścia!...“. I skonał. Tak umarł Chopin! Módlcie się za nim, ażeby żył wiecznie“.

x. Aleksander Jełowicki
„Ostatnie chwile Chopina“
Maria Okońska

W czasie kolejnego pobytu w Rzymie – a było to w 1971 r. – zgłosiła się do Kardynała Stefana Wyszyńskiego, do Instytutu Polskiego na Pietro Cavallini, pewna

arystokratka francuska ze swoją dame de compagnie. Niełatwo było dostać się do Księdza Prymasa w Rzymie, gdyż zgłaszało się do niego mnóstwo interesantów, zwłaszcza ze światowej Polonii. Niezrażona tym markiza postarała się o audiencję. Rozmowa toczyła się, oczywiście, w języku francuskim. Na pytanie Ojca: „Czym mogę Pani służyć?“ – padła odpowiedź: „Przychodzę do Księdza Prymasa z ogromną prośbą, aby Ksiądz Prymas zechciał rozpocząć proces beatyfikacyjny Fryderyka Chopina, którego muzyka porwuje cały świat, a zwłaszcza nas, Francuzów“. Zdumiony zapytał: „A czy Pani zna życie Chopina?“. „Oczywiście! Znam bardzo dobrze“ – odpowiedziała markiza. „Czy prosząc o jego beatyfikację, nie przeszkadzają Pani niektóre fakty z jego życia, np. historia z George Sand?“ – zapytał Ksiądz Prymas. – „To nie ma nic do rzeczy“ – odpowiedziała markiza. Zdumiony jeszcze bardziej, tłumaczył, że to nie jest możliwe. Chopin – wielki, prawdziwy geniusz – swoim życiem nie spełnia warunków wymaganych do rozpoczęcia procesu beatyfikacyjnego, czyli do wyniesienia go na ołtarze Pańskie. „Księżo Prymasie – powiedziała dama z przekonaniem – ktoś, kto tworzył taką muzykę, takie wprost Boskie piękno, musiał być święty!“.

Ksiądz Prymas z wielką miłością i cierpliwością tłumaczył, że wszczęcie procesu beatyfikacyjnego jest jednak niemożliwe, chociaż argumenty pani markizy są niezwykle trafne, gdy chodzi o związek piękna ze świętością, z tą jakąś wewnętrzną świętością, którą wielki Fryderyk na pewno posiadał. Ale ona nie musi być wynoszona na ołtarze.

Za rok pani markiza ponownie przyjechała do Rzymu, do Księdza Prymasa, z tą samą prośbą. Kardynał był wzruszony jej miłością do Chopina i zachwytem nad jego muzyką, która doprowadzała ją wprost do religijnej czci i uwielbienia samego Boga.

Opr. Ks. Leszek Kryża SChr

Tęsknoty, listy i wspomnienia

„Po kimże tęsknić? Wszyscyśmy wędrowcy, co w dom zachodzą,
by odejść na długą...”

S. Jesienin

Tęsknotę, jak miłość lub śmierć, trzeba przeżyć, żeby naprawdę zrozumieć. Moje emigracje w latach osiemdziesiątych ubiegłego stulecia dostarczyły mi tęsknot na pęczki. Tęskniłam za ludźmi, bo dla mnie każdy kraj, to przede wszystkim ludzie. Zdjęcia, które pomagały pamiętać, nie zastępowały bliższego kontaktu. Dlatego pisałam listy, wiele listów i otrzymywałam też sporo... W tamtych czasach rozmowy telefoniczne nie wchodziły w rachubę. Na Węgrzech po prostu nie miałam telefonu w domu, a w Australii koszty rozmów zagranicznych były zbyt wysokie na kieszeń emigranta. Dziś, w dobie internetu i tanich połączeń telefonicznych, listy przychodzą rzadko. A szkoda, bo nic nie zastąpi odręcznie pisanego listu, w którym czuje się energię nadawcy...

W ubiegłym roku przyjechał do Australii po raz pierwszy mój najstarszy bratanek Jonasz. Kiedy wyjechałam z Polski był małym chłopcem. Przez cały okres mojej emigracji utrzymywał ze mną kontakt listowny, podobnie jak jego młodszy kuzyn Piotr. Przeglądaliśmy razem stare listy, które do mnie obaj pisali – szczerze, wesołe, pełne tęsknoty, oraz zdjęcia, ilustrujące ich codzienność, na przykład podwórkową zabawę z chorągiewkami po pochodzie pierwszomajowym, czy pieczenie ziemniaków. Mieliśmy wspólny czas wspomnień, odgrzebanych dzięki tej korespondencji.

Kochana Ciociu!

Chciałbym, żebyś mi opisała jak Roland zachowuje się w kąpielni. Proszę odpisać. Piotr

Kochana Ciociu!

Za trzy tygodnie szkoła i zabrzni pierwszy dzwonek. Znowu zaczną się różne spory i stresy. Dla Piotrusia to wielkie przeżycie. Ciociu, chciałbym jak najszybciej dostać piórnik. Mi już się przypomina gwar szkolny. Nauczyciele myślą, że bez szkoły by świat nie ustał. A jednak racji nie mają, bo przecież pierwotni ludzie do szkoły nie chodzili, a jednak żyli i radzili sobie. Gdybym ja żył w Szwecji, to by było inaczej. Zostały mi trzy tygodnie, w tym czasie będę się nudzić. Te wakacje uważam za nieudane. Ciociu, prosiłbym cię bardzo o pisaki, ale nie takie, jak zawsze. Chciałbym, abyś mi Ciociu przysłała jak najszybciej, jeszcze gdyby to było możliwe na początku roku szkolnego. Bardzo tęsknię za Wami. Nie zwracaj uwagi na pismo i byki. Pozdrawiam. Jonasz

Kochana Ciociu!

Nie tak dawno były święta. Dla mnie pod choinką znalazł się tak zwany łokmen.

Bardzo się z niego cieszyłem ale go popuściłem.
Ferie zimowe spędziłem w domu. Była pogoda
bardzo miła. Raz było więcej. Raz
jesienią, a jeszcze nie raz była słońca
„angielska mgła”. Najbardziej oglądałem TV
satelitarne i telefonem. Może ten list do Ciebie
nie dojdzie bo niedawno znalaziono trzy
worki z zagranicznymi listami w odzie. Ja
będę należał do kancerstwa. Na tym
kończę swój list który jest tak krótki.
Drugi będzie dłuższy serdecznie pozdrawiam

Jonasz Fur

Kochana Ciociu!

Chciałbym się spotkać z kangurem. Czy mogłabyś mi przysłać dolara z kangurkiem? Dla wujka Laciego przesyłam rysunek z nowym samochodem i jeden fałszywy pieniążek. Pozdrawiam. Piotr

Kochana Ciociu!

Dziękuję za list, książeczkę o zwierzątkach i karteczkę z życzeniami. Teraz odpowiadam Ci na pytania:

Jak ty się bawisz zimą? W zimie się nie bawię, bo nie ma śniegu. Czy pada dużo śniegu? Śnieg w ogóle nie pada, jednym słowem nieudana zima. Czy z radością chodzisz do szkoły? Do szkoły chodzę niechętnie. Jakie przedmioty lubisz? Lubię matkę, technikę. Czy bawisz się często z Doris? Z Doris bawię się często. Czy czasem odwiedzasz Jonasza? Jonasza odwiedzam bardzo rzadko.

A czy Roland ma kolegów? Na którym piętrze mieszka? Jak nazywacie Rolanda, bo

my Doris nazywamy Myszka. Pozdrawiam. Piotr

Kochana Ciociu!

W sklepach spożywczych i supermarketach półki uginają się od towarów. Jest wszystko od kiwi do masła orzechowego. To nie to, co dawniej, kiedy ekspientka w dziurawym, zaświnionym fartuchu podała coś z łaską i liczyła otórkami po papierze. Teraz są ubrane ślicznie, uprzejmie, liczą na elektronicznych kasach i wagach. Miłej wigilii i wszystkiego najlepszego. Zawsze czekam na wieści od was. Ucałowania. Jonasz



Tak sobie myślę, że mimo tęsknoty i oddalenia moi bratanek poszerzyli swoją wiedzę o świecie w czasie prowadzenia korespondencji ze mną. Fascynowało ich wszystko o czym pisałam, cieszyły otrzymywane zdjęcia i drobiazgi. Jednocześnie oni sami zdawali mi sprawozdania z ich codziennego życia, co i dla mnie było bardzo miłe i ciekawe.

Dziś, po latach, zapytałam moich dorosłych bratanków, co pamiętają z wyjazdów na Węgry.

Piotr miał zaledwie cztery lata, kiedy przyjechał do Budapesztu. Powiedział mi przez telefon, że pamięta ruchome schody, których nigdy wcześniej nie widział, a którymi mógł najeździć się do woli, posągi lwów przy Moście Łańcuchowym i rowery jak riksze, na Wyspie Małgorzaty, oraz place zabaw. Pamięta też, że ludzie mówili dziwnym językiem, że w sklepach było kolorowo, jak w polskim Peweksie i że mama kupiła mu kolorowe skarpetki. Zauważył też, że wszyscy Węgrzy mieli wąsy! No i mieszkanie cioci pamięta, i grzanki z dżemem, które jadł. Jako dorosły człowiek planuje przyjechać ponownie do Budapesztu i odnaleźć miejsca, które pamięta z dzieciństwa.

Jonasz napisał mi obszerną odpowiedź: „Pamiętam wszystkie szczegóły, począwszy od podróży do Budapesztu, która w oczach dziecka była daleką wyprawą. Wsiadanie do nocnego pociągu „Batory” lub „Polonia” w Katowicach, przejazd przez dwie granice, a co się z tym wiązało, szczegółowe kontrole celników i ogólną nerwowkę połączoną z adrenaliną. Po całonocnej podróży poranek witał nas w innym, kolorowym świecie. Świecie zapachu owoców (arbuzów, brzoskwiń i cytrusów), mnogości towarów w sklepach, które w Polsce wczesnoschyłkowego Jaruzelskiego były deficytowe i uchodziły wręcz za luksusowe. Pamiętam wasze mieszkanie dwupoziomowe, ulice i architekturę Budapesztu, mosty Elżbiety i Małgorzaty, urbanistykę obydwu brzegów Dunaju. Oczywiście frajdą było metro, którego nie znałem z Polski. Pamiętam fantastyczne baseny i kąpieliska, Górę Gellerta, ZOO i wesołe miasteczko. Pamiętam też, że miałem bloki i po każdym dniu rysowałem sprawozdanie z minionego dnia. Każdy dzień był streszony w szkicach, które składały się na taki komiks z podróży. Pamiętam też wyprawę na wyspę Csepel i wyjazd do Várpaloty, a tam ogródek na tyłach domu Julii, twojej teściowej, małe koty, które właśnie przyszły na świat, no i baseny bodające w miejscowości Inota? Pamiętam też wycieczkę z mamą do Szentendre i domy towarowe w Budapeszcie pełne towarów i dóbr, o jakich Polacy mogli tylko marzyć. Zwłaszcza jeden utkwiał mi w pamięci - Skala vis-a-vis dworca Nyugati. No i żółte tramwaje, tak charakterystyczne dla stolicy Węgier. W Budapeszcie też byłam pierwszy raz na międzynarodowym lotnisku. Przypominam sobie, że mama zabrała mnie na wzgórze budańskie, gdzie znajdowała się kolejka/wyciąg obsługiwana przez pionierów. I pamiętam, jak skonstruowany przez Laciego kącik ze stołem i ławami do siedzenia zamieniał się wieczorem w łóżko do spania, i jak ta konstrukcja pewnego dnia przy rozkładaniu spadła na głowę mojej mamie... pamiętam to, jako dość dramatyczne wydarzenie. I pamiętam różne gatunki salami, no i winogrona pod koniec sierpnia.”

Za czym dziś tęsknię? Czasem za listem pisany odręcznie, albo za podróżą tramwajem w Budapeszcie na kawę z przyjaciółmi. Bo w emigrancie drzemie zawsze jakaś tęsknota, która pozostaje, mimo upływu czasu, jak blizna po skaleczeniu. Może ona najwyżej zmienić swoje oblicze, o czym ładnie pisze Maria Pawlikowska-Jasnorzewska, w końcu też emigrantka, w swoim krótkim wierszu „Mewa”:

„Tęsknota nade mną szeleszcze. / Trąca mnie skrzydłem mewiem.
Czy wciąż ta sama jeszcze? / Nie wiem! Nie wiem...”

Maria Agoston

„Nekünk a lengyel történelmet ugyanúgy kellene tanulni, mint a magyart...”

Antall István a Magyar Rádió irodalmi adásainak szerkesztője, akinek értelmes, mélyreható, olykor ironikus szövegeit sokszor volt alkalmam hallgatni és olvasni. Lengyelország számára szellemi birodalom és a „vágy titokzatos tárgya”. Piłsudski államszervezői zsenialitásán túl a lengyel mustár és a füstölt hal is ámulatba ejti. Véleménye szerint a lengyelekben megvan az az egészséges patriotizmus, ami a magyarokból hiányzik, s ami talán még „visszatanulható”.

István Antall jest redaktorem literackich programów Węgierskiego Radia. Miałam nieraz możność słuchania i czytania jego sensownych, głębokich, czasem ironiczných tekstów. Polska stanowi dla niego imperium umysłu i jest „tajemniczym przedmiotem pożądania”. Poza geniuszem organizacyjnym Piłsudskiego zadziwia go polska musztarda i wędzone ryby. Jego zdaniem Polacy mają ten zdrowy patriotyzm, którego brak Węgom i może można by się nauczyć tego od nowa.

Trojan Tünde: *Mióta és miért szereted a lengyeleket?*

Antall István: A történelmi tudatomban inkább még az a lengyel kép él, hogy minden nemesi udvarnak kell, hogy legyen egy „lengyele”. Az irodalomban volt egy kis ironikus tartalma ennek a történelmi együttműködésnek, ha Mikszáthra gondolok, mindenképpen. Később olyan tizenhét éves lehettem, amikor apám elveszítette a legjobb barátját, akinek a felesége így egyedül maradt. Apám úgy döntött, hogy elvisszük egy nagy kirándulásra. Mindenhová elmentünk, ahová akkor menni lehetett, és ez a „mindenhova” úgy kezdődött, hogy Besztercebánya és Krakkó. Azt, hogy mennyivel szabadabb kulturális tekintetben Lengyelország, tökéletesen lehetett érzékelni. Nagyon szíven ütött, amikor a krakkói főtér csodálatosan szép, gótikus templomában egy apáca beszélt a templom történetéről. Addig én mindig azt hittem, hogy a lengyel nyelv egy rettenetesen nehezen megközelíthető nyelv, de ez az apáca olyan gyönyörűségeen beszélt lengyelül, hogy arra kellett rájónom, minden nyelv egy személyiség által szólal meg, és hogyha a személyiség varázslatos, akkor az a nyelv is költészet lesz. Amikor pedig megnősültem, akkor a nászutunk is Varsóba vezetett. Lengyel egyetemisták hívtak meg minket, de sajnos érzéketlenek voltunk; én legalábbis érzéketlen voltam a Lengyelországban már jelentkező politikai drámával szemben. Ha jól számolom vissza az időt, ez úgy 1978-ban lehetett, és már érződött, hogy az egyetemi ifjúság hallatlanul elégedetlen. Az érzéketlenségemet mi sem jelzi jobban, mint hogy egy szovjet katonától vásárolt öv volt a nadrágszíjamon, egy olyan öv, amin a „veres” csillag volt rajta, sarló-kalapáccsal. Ez a Levi's farmerba nagyon jól beleillett és még volt valami ironia is a dologban. Kitűnő lengyel barátaim ezt egy jól átmulatott éjszakán kicserélték nekem a Honi Hadsereg hasonló elven működő övére, úgyhogy a mai napig őrzöm ezt a horgonyos lengyel övet, és utólag is nagyon hálás vagyok a csínyért a barátaimnak. Azt kell, hogy mondjam, hogy az én



Lengyelországhoz fűződő vonzalmam az örök lelkiismeret-furdalás, hogy nem értettük, mi történt ott. Amikor én ma mindenáron meg akarom érteni a lengyel történelem motívumait, akkor az első ember, akinek hálás köszönettel tartozom az Kovács István, aki - ahogy a televízióhoz kerültem riporterként, tán' még a papírom el sem készült - azonnal meghívott Lengyelországba, és Batorzban ott lehettem az 1863-as felkelés magyar és lengyel áldozatainak közös sírköveátadásán. Álltunk az erdőben, és én ilyen ünnepeket még életemben nem éltem át. Ott láttam először az akkori magyar nagykövetet, Engelmayer Ákóst, aki a lengyel-magyar együttműködés és ellenállás egyik kiemelkedő személyisége volt, és akit majd később egy pillanat alatt eltávolítottak tiszttségéből. Batorzból elmentünk Tarnówa, ahol megismertem Lippóczy Norbertet, azt a kiváló embert, akivel ott azonnal egy portréfilmet forgattam, amit természetesen a televízióban letöröltek. Ő 1939-ben éppen Tarnówa-ban élt, egy borászati kereskedelmi központot vezetett - tokaji borokat értékesített Lengyelországban, egészen Gdańskig vitte a fehérborokat. Ez az ember 1939 szeptemberében, amikor a németek lerohanták Lengyelországot, Kelet felé kezdett el menekülni családjával és holmijával egyetemben. Lemberg-nél lépte át a határt a cinikus késedelmességgel induló szovjet hadsereg, ahol őt azonnal letartóztatták. A gyermeke, a felesége és a sofőr kijutottak a gyűrűből és visszajutottak Tarnówa. Lippóczy viszont csak a gyermeke érettségijére érkezett vissza úgy, hogy a lengyel kommunisták írtak levelet Sztálinnak, hogy engedjék már el ezt az embert, hiszen semmi bűnt nem követett el. Még azt is elmesélte nekem ez a kiváló ember, akit természetesen Szibériába hurcoltak, hogy a moszkvai KGB-börtönben ő azt sem tudta, hogy a Szovjetuniót megtámadta a német hadsereg. Lippóczy személye is rendkívül fontos volt nekem - nagyon erősen megmaradt újságírói és emberi élményként is. A következő állomás az volt, amikor néhány évvel ezelőtt Kovács István a lengyel történelem huszadik századi fejezetével foglalkozó könyve, a *Csoda a Visztulánál és a Balti-tengernél* kezembe került. Ezt a könyvet én Dél-Tirolban olvastam el, ahol Európa utolsó parasztháborúja zajlott egykor, a napóleoni háborúk idején. Egyből úgy éreztem, hogy Andreas Hofer bizonyos

értelemben rokon az 1863-as lengyel felkeléssel is, legalábbis ami a függetlenségi elképzeléseit és a szabadságjogok felé nyitását jelentette. A könyvet nem tudtam letenni, és ott szembesültem azokkal az anyagokkal, amiket forrásként Kovács István összegyűjtött, és hihetetlen élvezetes módon megírt: Katyń kérdését, a második világháború kitörésének kérdését, egyáltalán a Magyarországon nagyon tudatosan lejárattott Piłsudski tábornok személyét illető kérdéseket mutatta be. Piłsudski egy olyan zseni volt, aki a nagyhatalmak, nagy birodalmak árnyékában a semmiből tudta Lengyelországot megteremteni, ahol háromféle közigazgatásból, háromféle iskolarendszerekből, háromféle hagyományból kellett egy új nemzeti közösséget összehozni.

Azt gondolom, hogy ilyen értelemben az 1918-ban ezt a szerepet vállaló Piłsudski maga az európai sikertörténet. S ha arra gondolok, hogy a magyar politika 1918-ban hogyan indul el a csőd felé, az igazságtalan béke és a feldarabolás által megvalósult irányba, akkor azt kell mondanom, hogy nekünk a lengyel történelmet ugyanúgy kellene tanulnunk, mint a magyart. Nagyon sokaknak talán az lenne a nagy tanulság, ha elmennének Lengyelországba és körülnéznének, hogy hova jutott a rendszerváltás húsz éve után az az ország, amelyiket olyan könnyű volt ilyen vagy olyan politikai szempontok alapján leszállni.

T.T.: Amikor Lengyelországban jártál, volt-e olyan étel, amit szerettél?

A. I.: Eleve azt nagyon szereti az ember, hogy olyan ízek vannak, ami itt nincs: ilyenek a savanyított levelek és azok a mártásos húsook, amik a magyar konyhában szinte teljesen ismeretlenek. Amit hihetetlenül szerettem, az a füstölt hal - állandóan azt vásároltam Varsóban. Rendkívül szerettem a barna kenyereket és a mustárt. Ez nekünk egészen más ízesítést jelent, mint a magyar mustár. A másik, ami engem megfogott Lengyelországban, az a sajtok sokfélesége. És akárki, akármit mond, azért az „egy táncos” és „kettő táncos” söröket én nem tudom elfelejteni, mert rendkívül jó sörök voltak.

T.T.: Milyen Lengyelországhoz való viszonyod most, ebben a pillanatban?

A. I.: Az örök vágyakozás, hogy el kell indulni, meg kell tapogatni újból azt a fajta kultúrát, ami hihetetlen, de Zágrábtól Gdańskig, Lemberg-től Prágáig, Krakkóig mégiscsak közös. Olyan otthonosság-érzés tudja elkapni az embert, ez valami olyan dolog, amit Báthori István is „megszimatolható”, amikor arra járt - egy szellemi birodalom építése. Nekem az szimbolikus, hogy magyar restaurátorok nem tudták helyreállítani az ópusztaszeri körképet, csődöt mondtak. Egyszerűen nem tudták, hogy hogyan kell egy körképet felfeszíteni. Lengyel szakemberek csinálták meg, mert Lengyelországnak kevesebb a frusztrációja a saját történelmével kapcsolatban, és bátrabban mer - akár a nacionalizmus vádjával szembenézve is - egy józan patriotizmust ápolni. Szerintem egészséges nemzetudatot a lengyelektől tanulhatnának a magyarok, ebben a pillanatban is, de azt hiszem, a jövőben is.

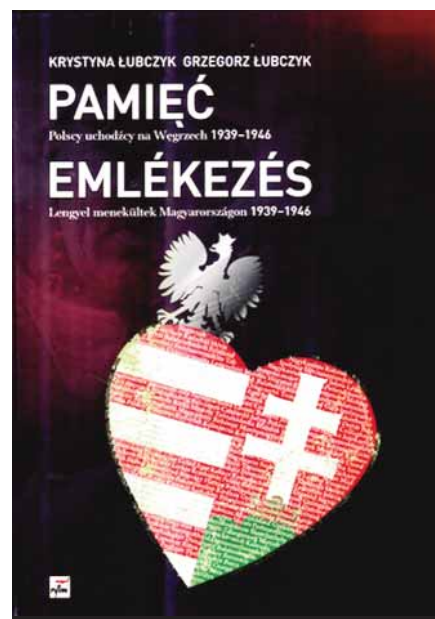
„Pamięć. Polscy uchodźcy na Węgrzech 1939-1946”

W ostatnich dniach stycznia tego roku w warszawskich księgarniach pojawiło się kilka Hungariców, bądź książek w chociaż znikomy sposób dotyczących Węgier czy spraw polsko-węgierskich. Niewątpliwie najobszerniejszą z nich, wymagającą bardzo wielu lat pracy, jest ponad 400 stronicowy album historyczny przygotowany przez Krystynę Łubczyk i Grzegorza Łubczyka – byłego ambasadora Polski na Węgrzech, opatrzony tytułem „Pamięć. Polscy uchodźcy na Węgrzech w latach 1939 – 1946”, a wydany w oficynie „Rytm”.

Album jest wyrazem uznania i wdzięczności wojennemu pokoleniu Węgrów. Szczególnie tym, którzy jesienią 1939 roku otworzyli granicę swojego państwa, domy i serca przed około 120 tysiącami polskich uchodźców z Ojczyzny, zaatakowanej przez Niemców i Sowietów. Uczynili to, nie bacząc, że ich kraj wszedł w polityczny sojusz z Niemcami. W tamtych godzinach próby ważniejsze były odwaga i honor, solidarność w niewoli i poczucie braterstwa, wyrosłe na gruncie tysiącletniej przyjaźni naszych narodów. Podstawą albumu jest unikatowa kolekcja fotografii zgromadzona przez Józsefa Antallá, nazywanego przez uchodźców „Ojczulkiem Polaków”, przekazana autorom przez jego córkę, Edith. Z setek zdjęć spoglądają na nas bohaterowie wojennej zawieruchy. Patrzymy na zatrzymane w kadrze obrazy z codziennego życia, na znane i nieznanne twarze

Polaków oraz Węgrów – „wiernych druhów w nie-szczęściu”. Starszemu pokoleniu pragniemy przypomnieć, a młodemu odkryć ważną, a w wielu przypadkach heroiczną kartę wojennego losu polskich uchodźców i ich węgierskich opiekunów.

Album ten 3 lutego w Ambasadzie Republiki Węgierskiej w Warszawie, a 4 lutego w „Domu Spotkań z Historią” na Karowej w nadwiślańskiej stolicy doczekał się dużych publicznych prezentacji. Obecni byli przedstawiciele Sejmu i Senatu RP, władz administracyjnych stolicy, Związku Kombatantów RP i Byłych Więźniów Politycznych, Nuncjusz Apostolski w Warszawie arcybiskup Józef Kowalczyk, Ambasador RW w Polsce Róbert Kiss, Boglarczyk i znakomity



znawca spraw polsko-węgierskich Tadeusz Olszański i naturalnie twórcy tego nadzwyczajnego albumu: państwo Krystyna i Grzegorz Łubczykowie oraz od lat z nimi współpracujący, mieszkający w Budapeszcie polonijny grafik Krzysztof Ducki (na zdjęciu).

Redakcja

Tam, gdzie spoczywa major Nyáry ...

Tropami polsko-węgierskiej przyjaźni

W dniu 24 stycznia br. w Zwierzynku odbyły się wojewódzkie obchody 147 rocznicy wybuchu Powstania Styczniowego. Rozpoczęła je msza święta w intencji Ojczyzny odprawiona w miejscowym kościele, po czym uczestnicy uroczystości przeszli pod pomnik powstańców, gdzie po oficjalnych wystąpieniach i apelu poległych złożone zostały wieńce i wiązanki kwiatów. Uroczystości swą obecnością m.in. zaszczytili: Wojewoda Lubelski pani Genowefa Tokarska oraz pan Robert Kiss Ambasador Republiki Węgierskiej w Warszawie, który w ten nadzwyczaj mroźny styczniowy dzień przybył na Roztocze w asyście radcy kulturalnego i prasowego ambasady (naszego kolegi redakcyjnego) Attili Szalai.

A dlaczego o tym piszemy? A mianowicie dlatego, że bardzo niewiele osób wie, że w walkach powstańczych przeciwko carskiej Rosji w 1863 roku obok Polaków uczestniczyli również Węgrzy. Na cmentarzu powstańców w Zwierzynku, obok pomnika powstańców poległych w Bitwie z Rosjanami pod Panasówką 3 września 1863 r., znajduje się rzeźbiony drewniany kopiał (kopijnik) i tablica nagrobna z godłami Węgier i Polski oraz inskrypcją w języku węgierskim i polskim, a na niej napisy:

„ITT NYUGSZIK NYÁRY ÓRNAGY, A PANASÓWKAI HÓS. AZ 1863 – AS LENGYEL SZABADSÁGHARC NÉGYSZÁZ MAGYAR ÖNKÉNTESÉNEK EGYIKE.

// TU SPOCZYWA MAJOR NYÁRY BOHATER SPOD PANASÓWKI JEDEN Z CZTERYSTU OCHOTNIKÓW WĘGERSKICH POWSTANIA STYCZNIOWEGO”.

Zwierzyniecki kopijnik postawiono w 130. rocznicę bitwy pod Panasówką. Odsłonięcie odbyło się przy udziale polskich oficjeli i ambasadora Węgier 25 września 1992 roku. Tablice w języku węgierskim ku czci powstańców (i kopijniki) są też na Roztoczu, na cmentarzu w Batorzu obok grobu pułkownika Marcina Borelowskiego „Lelewela” i przy kopcu na Sowiej Górze pod Batorzem. Dwujęzyczna tablica poświęcona Węgrom walczącym w powstaniu znajduje się na wzgórzu Polak na miejscu bitwy pod Panasówką. Poza Roztoczem kopijniki zobaczyć można również w Jarosławiu i Tarnowie.

Na zdjęciach obok widoczny jest polsko-węgierski wystrój uroczystej mszy świętej w zwierzynieckim kościele pw. Matki Bożej Królowej Polski oraz Ambasador RW w Polsce Róbert Kiss przy węgierskim kopijniku na tamtejszym cmentarzu.

Redakcja



Sz szczególnie piękny okres w dziejach wzajemnych stosunków polsko-węgierskich stanowi wiek XVIII. Jest to bowiem początek współdziałania w toku walk o niepodległość, we wspólnych walkach „za wolność naszą i waszą”. W Polsce znajduje schronienie skazany na śmierć i ścigany przez austriackich konfederatów książe Franciszek II Rákóczi i stąd wyruszają do walki w antyhabsburskim powstaniu jego powstańcze oddziały.

Polska, zawsze otwarta na przyjaźń z Węgrami, pogrążona jest w tym czasie w wielkim kryzysie politycznym. Po śmierci króla Sobieskiego i braku sukcesji o tron Polski zabiegają przedstawiciele niemal wszystkich potęg Europy. Jednym zależy, aby osadzić kogoś uległego, kim będą mogli sterować, innym, aby pozyskać sojusznika w osiągnięciu swoich wielkomocarstwowych celów.

W końcu do walki o koronę pozostają dwaj pretendenci: Stanisław Leszczyński, wspierany przez Szwecję i Francję oraz August II „Saksończyk”, popierany przez Rosję i Austrię. Koronacja tego drugiego „podziela” Polskę (jedni do „Sasa”, inni do „Lasa”). W Rzeczpospolitej wybucha wojna domowa.

Przejęciowie sukcesy militarne Szwecji powodują detronizację Augusta II (rok 1704) i głosami konfederatów warszawskich królem Polski wybrany zostaje wojewoda poznański Stanisław Leszczyński. Pięć lat później bitwa pod Półtawą na Ukrainie, zakończona całkowitą klęską Szwedów, ponownie zmienia losy naszego kraju. (Jako dygresję warto zaznaczyć, iż klęska pod Półtawą (rok 1709) oznaczała koniec mocarstwowej pozycji Szwecji. Rosja natomiast niepojemnie zyskała: z mocarstwa lokalnego stała się mocarstwem o zasięgu światowym, jakim pozostaje do dziś!).

Na tron powraca August II, wspierany przez tzw. konfederatów sandomierskich, do Polski zaś wkraczają wojska rosyjskie. Ścigana przez nich część armii wiernej Leszczyńskiemu, której odcięto drogę ewakuacji, zmuszona jest szukać schronienia na Węgrzech.

I tak kilkudziesięcny oddział polski pod wodzą Stanisława Potockiego, wstępuje w szeregi sił powstańczych Franciszka Rákócziego, które od lat walczą o wolność ojczyzny z sojusznikiem Rosji – Austrią. Polacy, a wraz z nimi Szwedzi, przybyli na Węgry w ostatniej fazie trwającego sześć lat powstania. Niemal ostatnim zrywem kuruców, aby odwrócić losy wojny, była bitwa pod Romhány stoczona dokładnie 300 lat temu, 22 stycznia 1710 roku.



Ostatni zryw kuruców

300 lat temu miała miejsce bitwa pod Romhány

I choć licznie powstańcza armia wielokrotnie przewyższała siły wroga, dowódca konnego pułku zwiadowczego podjął walkę z Austriakami samodzielnie-

pamiętnikach opisujących wydarzenia bitwy pod Romhány.)

Sądząc, że walka została zakończona, powstańcy zaczęli łupić austriackie tabory. Regularna, dobrze wyszkolona cesarska armia nie dała za wygraną. Połączyła swe siły ponownie i przy akompaniamencie niesamowitego hałasu doboszów i trębaczy przystąpiła do ofensywy. Teraz zaskoczeni powstańcy, przyjmując co prawda walkę, powoli opuszczali teren boju. Choć okupiona życiem ponad 300 kuruców oraz 93 Polaków, Szwedów i Francuzów (po stronie Austriaków straty były niemal dwukrotnie wyższe) bitwa została – niestety – nierozstrzygnięta. Armii Rákócziego zabrakło doświadczenia, subordynacji i dobrego dowództwa. Bitwa pod Romhány była ostatnim wielkim zrywem trwającego sześć lat powstania. Niedługo później dochodzi do rozbitcia ostatnich ostoisk kuruców i niechlubnego „pokoju w Szatmár”.

W 1932 roku na miejscu bitwy wystawiono granitowy obelisk pamiątkowy. Na szczycie 8 metrowego monumetu znajduje się legendarny ptak turul, zaś na jego bocznych ścianach umieszczono odlane w brązie tablice, czczące w trzech językach żołnierzy poległych tu w bitwie. Od dziesiątek lat pomnik i otaczający go niewielki skwer starannie utrzymywany jest przez miejscowych mieszkańców, wśród których pamięć o krwawych wydarzeniach sprzed 300 lat jest stale żywa i pielęgnowana.

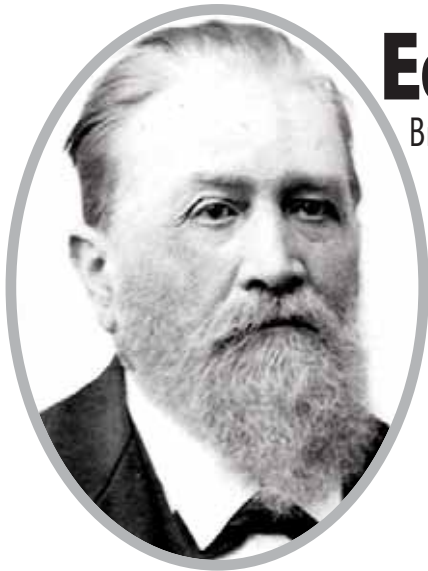
Tegoroczne obchody rocznicowe miały szczególnie uroczysty charakter. Z tej okazji zorganizowano konferencję historyczną, przed gmachem urzędu gminy umieszczono i poświęcono dzwon „Pro memoria” ufundowany ze składek mieszkańców, zaś w sąsiedniej wiosce Szátok odstonięto wykonany w drzewie konny pomnik księcia Rákócziego. W uroczystościach oprócz licznych mieszkańców Romhány, władz województwa Nógrád, miejscowej gminy i wielu organizacji społecznych, udział wzięły delegacje ambasad Polski i Szwecji, Ogólnokrajowego Samorządu Mniejszości Polskiej, Stowarzyszenia Bema oraz goście z Lutomiarska – polskiej gminy partnerskiej Romhány. Obecny był także konsul honorowy RW w Polsce, pan Tadeusz Kaczor, który z rąk starosty na wniosek Rady Miejskiej otrzymał tytuł honorowego obywatela gminy Romhány.

Jerzy Kochanowski



nie sądząc, że ma przed sobą nieliczny ich oddział, który łatwo pokona. Popenił sromotny błąd! Gdy po południu tego dnia główne siły Rákócziego dotarły na pole bitwy, chaotyczny bój trwał na dobre. Sytuacja ta była nie po jego myśli. Książę zamierzał bowiem przystąpić do ataku dopiero następnego dnia, gdy opracuje ze swoimi strategami optymalny plan bitwy. Chcąc nie chcąc „prosto z drogi” dziesięcioletnia armia, a w tym blisko 1,5 tysiąca Polaków i 500 Szwedów, włączyła się do walki. Widząc liczną przewagę powstańców, większość Austriaków opuściło w popłochu miejsce zmagania, dragoni natomiast znaleźli przejściowo schronienie w okolicznych mokradłach. (Jako ciekawostkę należy zaznaczyć, że styczeń tego roku był niezwykle łagodny i to w całej Europie. Śniegu nie było na Węgrzech wcale, a i grunt nie był zamrznięty. Odnotowano owe zjawisko niemal we wszystkich

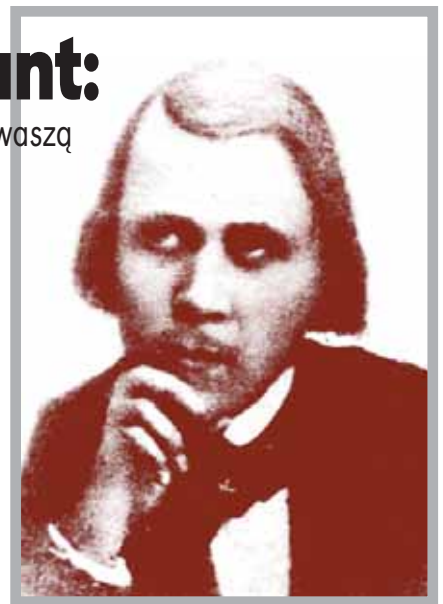




Edmund i Zygmunt: Bracia Matejkowie za wolność naszą i waszą

dynczym osobom albo małym grupkom Polaków udawało się przedrzeć na Orawę. Major Ármín Görgey zameldował w swym raporcie wysłanym 17 czerwca do generała Henryka Dembińskiego, że „z Polaków, którzy szczęśliwie przedostali się tu przez granicę, organizuje się mały legion. Składa się on (...) z 87 ludzi, (...) a organizacją zajmuje się pan porucznik Kuczyński.” Major Görgey nie ukrywa, że od generała Józefa Wysockiego, dowódcy legionu polskiego dostał rozkaz wysłania Polaków, służących w jednostce specjalnej, do Miskolca, gdzie się znajdował ośrodek organizacyjny legionu. Major Görgey był świadom, że lada dzień nastąpi interwencja rosyjska, bo 12 maja tereny przygraniczne Orawy i Galicji były patrolowane przez oddziały kozackie.

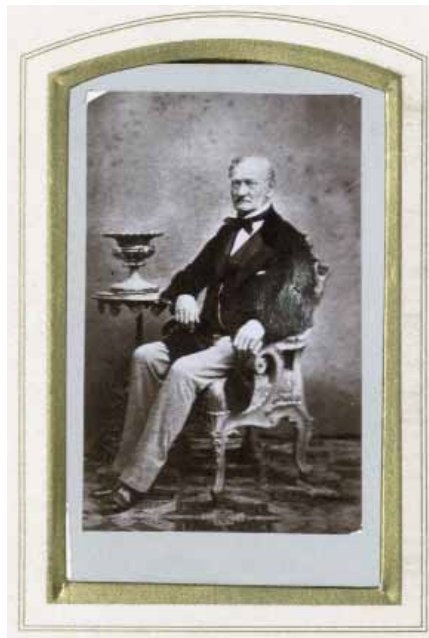
Dywizja specjalna rosyjska, składająca się z 16.000 żołnierzy pod rozkazami generała Pawła Christoforow-



W styczniowym numerze 2008 roku na łamach *Polonii Węgierskiej* ukazał się artykuł pióra Stanisława M. Jankowskiego pod tytułem „Bracia Matejkowie idą do powstania”. Pisze on, że „ci dwaj studenci Uniwersytetu Jagiellońskiego z rodzinnego domu w Krakowie uciekli zaraz po pierwszych informacjach o powstaniu nad Dunajem i – jak podaje Eligiusz Kozłowski – zaciągnęli się do Legionu Polskiego”. (Otwarta wojna między Cesarstwem Austriackim i Królestwem Węgierskim wybuchła 3 października 1848 roku. Informacje o niej razem z wieściami o wybuchłej trzy dni później rewolucji wiedeńskiej dotarły do Galicji tydzień później.) Dalej jest mowa o tym, że Zygmunt Hilary mógł polec pod Szentmártonkátą w pobliżu Hatvan 1 kwietnia 1849 roku. Ale jak mógłby być on tam „rozsiekany przez rosyjskich czerkiesów”, jeśli interwencja rosyjska nastąpiła dopiero w połowie czerwca 1849 roku? Sam Eligiusz Kozłowski w swym „Legionie polskim na Węgrzech” wydanym 1983 roku nie wspomina ani o Szentmárton, ani o Matejkach. Pisze za to o decyzji majora Ármína Görgeya „zatrzymania w swym oddziale partii świeżo przybyłych z Galicji ochotników pod dowództwem Hipolita Kuczyńskiego”, nie podając daty jego przybycia na Węgry.

Wiemy jednak, że ten oddział dostał się do Węgier, na Orawę w pierwszej połowie maja 1849 roku i liczył ponad pięćdziesięciu ludzi. Byli to w większości studenci Uniwersytetu Jagiellońskiego. Wśród nich między innymi znaleźli się Edmund i Zygmunt Matejko. W Dolnym Kubinie, w stolicy Orawy miał kwaterę specjalny oddział majora Ármína Görgeya. W jego sztabie służył Polak, Francisek Dobecki, awansowany na kapitana 1 czerwca 1849 roku. Jako podporucznik 4 pułku ułanów armii c. k. w 1843 roku wystąpił z wojska zafascynowany powstałym wówczas w Balatonfüred Towarzystwem Żeglugi Parowej. Zwrócił nań uwagę sam István Széchenyi, skoro dzięki jego poparciu Dobecki wyjechał do Europy Zachodniej na stypendium naukowe. Na wieść o wybuchu wojny austriacko-węgierskiej wyruszył z powrotem na Węgry i w lutym 1849 roku stanął przed ministrem wojny w Debreczynie zgłaszając gotowość do służby. W kwietniu został wcielony do jednostki specjalnej majora Görgeya mającej kontrolować północno-zachodnią skrawek Węgier.

Nie był on jedynym Polakiem, który walczył w oddziale majora Görgeya. Wczesną wiosną 1849 roku Antoni Górniewicz, student II roku filozofii Uniwersytetu Jagiellońskiego z dwoma ośmioma kolegami dostał się na Węgry i zostali przyłączeni do kompanii legionu niemieckiego. Po przybyciu oddziału Kuczyńskiego już tylko poje-



cza Grabbe 14 czerwca zajęła Orawę, a w Dolnym Kubinie założyła kwaterę główną. 22 czerwca po północy zameldowano mu w Suczaniu, że w pobliskim Turczańskim Świętym Marcinem (Túrócszentmárton) przebywa niewielki oddział węgierski. Z powstałego dwa dni później raportu majora Görgeya okazało się, że w mieście tym przebywała węgierska zwiadowcza grupa, która składała się z dwóch kompanii piechoty, kompanii polskich legionistów i dwóch plutonów huzarów oraz z jednego dział. Grabbe, który około pół do trzeciej nad ranem zaalarmował jeden pułk piechoty, cztery sotnie Kozaków dońskich i jedną baterię lekkokonną, tak oto uwiecznił w swym dzienniku kronikę wojenną pisząc pod datą 22 czerwca: „Kozacy, z pułkownikiem Syczowem na czele, pogalopowali w tamtym kierunku, wdarli się do miasta (...), pojmali czterdziestu jeńców, kilku ludzi zabiłi, resztę rozproszyli. Pośród jeńców jest dwóch Rosjan i jeden Francuz. Pozostali to Polacy...”

Wielką liczbę polskich jeńców wojennych wyjaśnia fakt, że dowództwo oddziału zwiadowczego nie wystawiało posterunków, a polscy legionisi pozostawili na ulicy swe ustawione w kozły karabiny, zamierzali oddać się rozkoszom obiadu. Wtedy jak błyskawica pojawiali

się Kozacy. Kto mógł uciekać. Niektórzy ukryli się w piwnicy i w szopie. Wszelako paru legionistów nawet w tychznaczonych śmiercią chwilach miało serce we właściwym miejscu. Szeregowy Leopold Morawiecki, wraz z kilkoma kolegami biegł po karabiny i potraktował Kozaków gradem pocisków karabinowych, powodując niemałe zamieszanie w szeregach przeciwnika, dzięki czemu rozproszony legion miał czas na złapanie oddechu. Zygmunta Matejka dosięgła kula kozacka, kiedy – może wraz z Morawickim i innymi – pobiegł po ustawioną w kozły broń. Zmarł w szpitalu miejskim. Brat, Edmund zdołał uciec.

W mieście pochowano jedenastu Węgrów i Polaków, wśród nich i Zygmunta. O jego grobie jeszcze wspomina brat generała Artúra Görgeia, István Görgei, jako że grób ten w latach 1880-tych był znany i pielęgnowany w Turczańskim Świętym Marcinie.

Po tym Ármín Görgey nie mógł już pozostałych w swym oddziale Polaków powstrzymać. Trzydziestu trzech Polaków, między innymi Antoni Górniewicz, Hipolit Kuczyński i Edmund Matejko, pojechali połączyć się z legionem generała Wysockiego do Miskolca, gdzie porucznika Hipolita Kuczyńskiego razem ze szeregowym Leopoldem Morawieckim wcielono do 1. pułku lansjerów, Antoni Górniewicz wstąpił do artylerii legionu, a Edmund Matejko – prawdopodobnie w towarzystwie kuriera kapitana Antoniego Źarskiego – pojechał do Bema, znajdującego się akurat pod Bystrzycami, gdzie wydał rozkaz na przeorganizowanie polskiego legionu siedmiogrodzkiego. Edmund Matejko został oficerem w 2. batalionie piechoty legionu pod dowództwem majora Leona Czechowskiego. Batalion ten nie złożył broń 24 sierpnia w Zibo przed Rosjanami, a wycofał się w kierunku Nagybánya, gdzie się rozproszył. Dlatego w późniejszych opowiadaniach Edmunda Matejki figurują nazwy miast: Zibo i Nagybánya.

Nie tylko Zygmunt i Edmund reprezentowali w Węgierskiej Wiosnie Ludów słynną rodzinę malarską. Na Węgrzech walczyli także dwaj bracia słynnego polskiego batalisty Juliusza Kossaka: Leon Kossak i Władysław Kossak. Podporucznik Władysław Sylwester Kossak był adiutantem podpułkownika Władysława Ponińskiego, dowódcy 1. pułku lansjerów legionu polskiego. Podporucznik Leon Robert Kossak z jednego z cesarskich pułków ułanów przeszedł na stronę Węgrów. Walczył pod rozkazami Bema w armii siedmiogrodzkiej. Wykazał się on także zdolnością malarską. Kilka jego szkiców uwiecznia sceny batalistyczne z letniej kampanii siedmiogrodzkiej.

István Kovács

„Śladami Rodaków”

Pamięć o miejscach, gdzie dłutem kamieniarza spisana jest historia węgierskiej Polonii

W ostatnich dniach grudnia 2009 roku staraniem redakcji kwartalnika „Głos Polonii” Polskie Stowarzyszenie Kulturalne im. J. Bema na Węgrzech wydało już czwarty numer zeszytów historycznych, tym razem w całości poświęcony grobom polskich uchodźców wojennych z okresu II wojny światowej. Na blisko 250 stronach zeszytu można znaleźć informacje dotyczące polskich obozów uchodźczych na Węgrzech i osób zmarłych w tych obozach, szczegółowy opis miejsc i mapę, w których znajdowały się te obozy, indeksy: miejscowości, nazwisk, bibliografię i dokumentację fotograficzną, informacje dotyczące klasyfikacji miejscowości, cmentarzy, grobów i spoczywających w nich zmarłych, a wszystko to z zaznaczeniem nazw miejscowości i komitatów, w których są one obecnie położone. Wydawnictwo mające charakter informacyjno-bibliograficzny powstało na podstawie materiałów zebranych przez zawodowego muzeologa na zlecenie PSK im. J. Bema pod redakcją naczelnej redaktor „Głosu Polonii” Bożeny Bogdańskiej-Szadai i publicysty tego kwartalnika, badacza polsko-węgierskiej historii, obecnie radcy kulturalnego i prasowego Ambasady RW w Warszawie Attili Szalai, którzy we wstępie między innymi napisali:

„Ziemia węgierska kryje prochy wielu tysięcy Polaków. Polskie groby rozsiane są po całym kraju i tak naprawdę chyba nikt nie potrafi ich zliczyć. Budapeszt, Solymár, Budakeszi, Eger, Győr, Sárvár, Vasvár, Isaszeg, Derenk i wiele innych. Myślę, że nie ma takiego cmentarza w tym kraju, gdzie nie byłoby mogiły, na której widnieją polskie nazwiska, ale bez

wątpienia najwięcej polskich grobów pozostało tu po II wojnie światowej.

Aby rodacy mogli spoczywać w jednym miejscu przedstawiciele Komitetu Obywatelskiego oraz PCK zwrócili się do ówczesnych władz węgier-



skich o przyznanie odpowiedniego terenu i tak 5 września 1940 roku na cmentarzu w Rákoskeresztúr w X dzielnicy Budapesztu poświęcono 17 grobów - były to jedne z pierwszych mogił kryjących

prochy polskich uchodźców wojennych.

W uroczystości tej między innymi uczestniczył prezes Komitetu Obywatelskiego ds. Opieki nad Polskimi Uchodźcami Henryk Sławik oraz pierwszy proboszcz parafii polskiej ks. Wincenty Danek, który 17 kwietnia 1945 roku tam właśnie został pochowany.

W 2009 roku dzięki staraniom i pomocy Rady Ochrony Pamięci Walk i Męczeństwa w Warszawie aż trzy polskie kwatery wojenne na Węgrzech doczekały się renowacji. W chwili zakończenia prac nad tym wydawnictwem kontynuowane one były jeszcze w Budapeszcie, dlatego między innymi do opracowania naszego włączyliśmy plan nowej kwatery i aktualną listę nazwisk osób, których prochy spoczywają na kwaterze wojskowej cmentarza Rákoskeresztúr”.

Zeszyt historyczny nr 4 pt. „Śladami Rodaków” powstał dzięki wsparciu Rady Ochrony Pamięci Walk i Męczeństwa w Warszawie oraz ze środków Senatu RP za pośrednictwem Fundacji „Pomoc Polakom na Wschodzie”, a podobnie jak poprzednie można go czytać w językach polskim i węgierskim.

Wcześniejsze trzy zeszyty historyczne wydane przez PSK im. J. Bema dotyczyły bohatera węgierskiej Wiosny Ludów Konrada Kazimierza Rulikowskiego (2004 r.), pierwszego polskiego proboszcza w Budapeszcie księdza Wincentego Danka (2005 r.), oraz tożsamości Bratanków (opracowanie powstałe z okazji 50-lecia stowarzyszenia; 2008 r.). Obecny zeszyt napisany w roku 70-lecia polskiego uchodźstwa wojennego na Węgry - miejmy nadzieję, że przyczyni się do obogacenia wiedzy o polskich nekropoliach w Europie oraz do zachowania pamięci o miejscach, gdzie dłutem kamieniarza spisana jest historia węgierskiej Polonii.

Red.

„1939. Ostatni rok pokoju, pierwszy rok wojny”

To kolejna bardzo interesująca książka, która niedawno ukazała się w nadwiślańskiej stolicy staraniem Wydawnictwa Zys i ska. Książka prezentuje zarówno najważniejsze wydarzenia 1939 roku, jak i dni powszednie, zwyczajne, niekiedy nawet banalne. Bo chociaż 1939 rok był rokiem przegranej wojny, wielkiej klęski, początku dwóch koszmarnych okupacji, to przecież i wtedy życie toczyło się zwyczajnie. Ludzie rodzili się i umierali, przeżywali radości i smutki, snuli plany na bliższą i dalszą przyszłość. Rok 1939 był więc niezwykle i zwyczajny zarazem, dramatycznie rozerwany wrześniową katastrofą. Książka ta zapewne zainteresuje szczególnie osoby zajmujące się polsko-węgierskimi tajnikami historycznymi, które znalazły się w tym opracowaniu.

Kalendarium wydarzeń 1939 roku jest uzupełnione 365 komentarzami wybitnego historyka, przedwcześnie zmarłego profesora Pawła Wiczorkiewicza, oraz popularyzatora historii, doktora Janusza Osicy, oceniającymi tamte wydarzenia ze współczesnej perspektywy. Całość w 365 dni roku zebrał znakomity dziennikarz radiowy i publicysta Andrzej Sowa.

Red.



Staropolskie spotkanie opłatkowe

■ 12 grudnia w salonie Polskiego Stowarzyszenia Kulturalnego im. J. Bema na Węgrzech odbyło się tradycyjne, tym razem zupełnie staropolskie spotkanie opłatkowe. Zeszło nań wyjątkowo dużo gości, członków stowarzyszenia, przedstawicieli władz, Polonofilów, obecny był także gość wyjątkowy - pan Andrzej Celiński poseł na Sejm RP. Były życzenia, kolędy, pastorałki w bardzo ciepłym, pełnym uroku wykonaniu znakomitej gwiazdy krakowskiej Agnieszki Rosnerówny w asyście Edwarda Zawilińskiego. Stoły uginały się od staropolskiego jadła, które specjalnie na tę okazję za sprawą pana Leszka - mistrza kulinariów „zjechało” na bemowskie stoły prosto z Kamiennej Góry. Jak tradycja nakazuje potraw było dwanaście, od ryb podawanych na różne sposoby, po kluski z makiem i kompot z suszu. W znakomitej atmosferze jedzono, pito, rozmawiano i kolędowano do późnego wieczora.



Bal przedszkolaków

■ 30 stycznia w sobotnie, śniegiem zasypane popołudnie w Polskim Stowarzyszeniu Kulturalnym im. J. Bema na Węgrzech odbył się doroczny bal karnawałowy dla najmłodszych. Przybyły nań królowy, motylki, ważki i piesek - tańczono i bawiono się znakomicie, a gospodyniami balu były panie przedszkolanki.



Bemowski „Tłusty czwartek”

■ Zgodnie z tradycją w Tłusty Czwartek 11 lutego w sympatycznej atmosferze w siedzibie Polskiego Stowarzyszenia Kulturalnego



im. J. Bema na Węgrzech odbyło się okolicznościowe, towarzyskie spotkanie, w którym uczestniczyli członkowie stowarzyszenia, a także ich węgierscy przyjaciele.

Podano żurek, polskie wędliny, znakomity domowy smalec, chrust i naturalnie pączki, a popijano to węgierskim winem. Gospodynią wieczoru była prezes Halina Csúcs, a kulinarnie pomagali jej członkowie stowarzyszenia, wśród nich z dużym oddaniem Danka Hardy i Magda Dąbrowska.

Zebrała się Rada Stowarzyszenia

■ 20 lutego w Budapeszcie zebrała się Rada PSK im. J. Bema na Węgrzech. W programie długich i burzliwych obrad - na które przybyło 12 członków Rady, dwóch prezesów oddziałów terenowych (Tata i Székesfehérvár), 3 osoby z ramienia zarządu z prawem głosu oraz Komisja Rewizyjna - przedstawiono i zatwierdzono sprawozdania z działalności programowej i finansowej stowarzyszenia za rok 2009, a także propozycje programowe i projekt budżetu na rok 2010. Pomimo sporego niezrozumienia wśród niektórych członków Rady nastąpił przełomowy krok do przodu w sprawach związanych z zamiarem przekształcenia organizacji w stowarzyszenie działające na prawach stowarzyszenia użyteczności publicznej. Po prawie rocznym okresie zastanawiania się dwie spośród członkiń Komisji Rewizyjnej wypełniając postanowienie Rady złożyło brakujące oświadczenia, a tym samym uzupełnione dokumenty mogą wreszcie trafić do sądu. Poważnej krytyce poddano zbyt małą ilość przeprowadzanych zebrań Rady Stowarzyszenia; zarząd przyjął tę krytykę za



konstruktywną. Mówiono również o mediach polonijnych; z największą krytyką spotkała się strona internetowa www.bem.hu. Zarówno „Polonii Węgierskiej” jak i „Głosowi Polonii” zarzucano zbyt-nią skąpość materiałów dotyczących szczegółów tutejszego życia polonijnego. W spotkaniu w charakterze gości-obszwaratorów uczestniczyli: przewodnicząca SSMP wraz z zastępczynią, przewodnicząca stowarzyszenia „Polonia Nova” wraz z zastępczynią, przewodniczący

Stowarzyszenia im. J. Piłsudskiego z Győr oraz licznie przybyli członkowie Bema, którzy z dużymi emocjami i osobistym zaangażowaniem zainteresowani byli jak najszybszym przeprowadzeniem wyborów nowych władz Bema. Termin wyborów - jak postanowiono na zebraniu - ogłoszony zostanie po uporządkowaniu i uaktualnieniu deklaracji członkowskich stowarzyszenia. Przypominamy, że ostatnie wybory odbyły się w Bemie 27 marca 2007 r. Obrady Rady stowarzyszenia prowadziła jego prezes dr Halina Csúcs Lászlóné. (b.)

Podziękowanie

Szanowni Członkowie Stowarzyszenia
Szanowni Sympatycy Stowarzyszenia

Polskie Stowarzyszenie Kulturalne im. J. Bema na Węgrzech

w roku ubiegłym uzyskało z odprowadzenia 1% od dochodów osobistych kwotę **414.846** forintów.

Dziękujemy ofiarodawcom i liczymy na gotowość wsparcia także w tym roku. Zainteresowani powinni na dyspozycji podać nazwę i adres stowarzyszenia oraz nasz numer podatkowy tj:

19000943-1-41

Magyarországi Bem József Lengyel Kulturális Egyesület

1051 Budapest Nádor u. 34.II/1

Bankszámlaszám:

OTP. V. KER. fiókja

1052 Budapest, Deák F. u.7-9

11705008-20012759-00000000

* * *

Jednocześnie wszystkim członkom stowarzyszenia przypominamy o obowiązku płacenia składek członkowskich. Numer konta bankowego widoczny jest powyżej.

Ambasada Rzeczypospolitej Polskiej
1068 Budapest,
Városliget fasor 16.
tel.: 413-8200

Wydział Konsularny
1068 Budapest,
Városliget fasor 16.
tel.: 413-8200

**Ogólnokrajowy Samorząd
Mniejszości Polskiej na Węgrzech**
1102 Budapest, Állomás u. 10.
tel./fax: 261-1798

**Stołeczny Samorząd
Mniejszości Polskiej na Węgrzech**
1054 Budapest, Akadémia u. 1-3.
tel.: 332-1979 fax: 302-5116

**Polskie Stowarzyszenie Kulturalne
im. J. Bema na Węgrzech**
1051 Budapest, Nádor u. 34. II. p.
tel.: 311-0216 tel./fax: 312-8204

**Stowarzyszenie Katolików Polskich
na Węgrzech pw. św. Wojciecha
i Dom Polski**
1103 Budapest, Óhegy u. 11.
tel./fax: 262-6908

Polska Parafia Personalna na Węgrzech
1103 Budapest, Óhegy u. 11.
tel.: 431-8414

**Szkoła Polska im. S. Petőfięgo
przy Ambasadzie RP**
1025 Budapeszt, Törökvesz út 15.
tel./fax: 326-8306

**Ogólnokrajowa Szkoła Polska
na Węgrzech**
1102 Budapest, Állomás u. 10.
tel./fax: 261-2748

**Muzeum i Archiwum
Węgierskiej Polonii**
1102 Budapest, Állomás u. 10.
tel./fax: 260-8023

Instytut Polski
1065 Budapest, Nagymező u. 15.
tel.: 311-5856 fax: 331-0341

**Polskie Przedstawicielstwo Turystyczne
Oddział w Budapeszcie**
1075 Budapest, Károlyi krt.11
Tel. 2697809

Program radiowy:
Redakcja Polska „Magyar Rádió” RT
1800 Budapest, Bródy S. 3-5
„Magazyn Polski” – emisja
w każdą sobotę (13.30-14.00)
pr. MR4 (fale średnie 873 i 1188 kHz)
oraz z: www.radio.hu

Polonijna strona internetowa:
www.polonia.hu



WIADOMOŚCI KONSULARNE

Europejska Karta Ubezpieczenia Zdrowotnego (EKUZ)

W państwach Unii Europejskiej ubezpieczenie zdrowotne mamy prawie automatycznie; wystarczy – przed wyjazdem – uzyskać w najbliższym oddziale NFZ kartę EKUZ (Europejską Kartę Ubezpieczenia Zdrowotnego). Ale tu uwaga: daje ona prawo do korzystania z usług publicznej służby zdrowia, natomiast bynajmniej nie pokrywa kosztów wizyt specjalistycznych, a co ważniejsze – transportu medycznego, jeśli taki jest niezbędny, a w sytuacjach ostatecznych – transportu ciała. Przy odbieraniu karty EKUZ otrzymujemy pisemną informację o warunkach korzystania z publicznej służby zdrowia w kraju, do którego się udajemy. O karcie EKUZ nie zapominajmy także w przypadku podróży do Polski.

Konsul

Rocznice

▶ **15 lat temu** zmarł ksiądz polityk – Béla Varga (ur. 1903), obrońca polskich uchodźców podczas II wojny światowej; inicjator i założyciel Polskiego Gimnazjum w Balatonboglár.

▶ **75 lat temu** zmarł pierwszy Naczelnik – po 123 latach niewoli odrodzonej Polski – Marszałek Józef Piłsudski.

▶ **150 lat temu** urodził się Szilárd Ziełiński (zm. 1924), inżynier, profesor politechniki, pierwszy na Węgrzech propagator żelbetonu; m.in. konstruktor wieży ciśnieniowej na wyspie Małgorzaty, mostu w parku Városliget.

▶ **200 lat temu** urodził się Fryderyk Chopin, kompozytor, jeden z największych pianistów na świecie; wielka przyjaźń łączyła go z Franciszkiem Lisztem.

▶ **200 lat temu** urodził się Franciszek Smółka (zm. 1899) galicyjski polityk, długoletni poseł w Radzie Cesarstwa w Wiedniu, odważny i niestrudzony orędownik interesów Polski i Węgier.

▶ **300 lat temu** miała miejsce ostatnia bitwa Powstania Rakoczięgo pod Romhány, w której obok kuruców, Szwedów i Francuzów, udział wzięło ok. 1,5 tys. Polaków. Pamięć poległych, w tym naszych rodaków, czci obelisk wzniesiony w 1932 roku.

▶ **350 lat temu** „Pokój w Oliwie” zakończył pięcioletni okres „Potopu” szwedzkiego na ziemiach polskich.

▶ **600 lat temu** 15 lipca odbyła się zwycięska bitwa pod Grunwaldem.

Zebrał: Jerzy Kochanowski



GŁOS POLONII

Kwartalny dodatek miesięcznika „Polonia Węgierska”, finansowany przez Fundację na rzecz Mniejszości Narodowych i Etnicznych, wspomagany finansowo przez Fundację „Pomoc Polakom na Wschodzie” ze środków Senatu RP

A Polonia Węgierska negyedévi melléklete, főtámogató: a Magyarországi Nemzeti és Etnikai Kisebbségekért Közalapítvány, további támogató: LK Szenátus és a „A Keleten Élő Lengyelekért” Alapítvány

Pismo założone przez Polskie Stowarzyszenie Kulturalne im. Józefa Bema na Węgrzech, Prezes Stowarzyszenia:

Halina Csúcs

Alapította a magyarországi Bem József Kulturális Egyesület, az Egyesület Elnöke:

Halina Csúcs

Wydawca:
Ogólnokrajowy Samorząd Mniejszości Polskiej
Kiadja
az Országos Lengyel Kisebbségi Önkormányzat

Redaguje Kolegium w składzie / szerkesztik:
redaktor naczelna / főszerkesztő

Bożena Bogdańska-Szadai,

redaktor węgierski / magyar szerkesztő

András Benza-Romanowski Asztalos,

sekretarz redakcji / szerkesztőségi titkár

Magdalena Rajtar-Szabó,

redaktor graficzny / grafikai szerkesztő

Dukay Barna

Stali współpracownicy / főkunkatársak

**Jerzy Kochanowski, Sárközi Edit, Szalai Attila,
Trojan Tünde**

Adres / szerkesztőség címe:

1051 Budapeszt, V. Nádor u. 34.,

tel.: 311-0216, fax: 312-8204,

e-mail: bem@bem.hu

ISSN 1219-7998

SERIART Nyomdaipari Stúdió Kft.